

NAPOLEON BONAPARTE

Dnia 15 sierpnia 1769 r. przyszło na świat w Ajaccio dziecko, które od rodziców otrzymało nazwisko Bonaparte, niebiosą zaś obdarzyły je imieniem Napoleon.

Pierwsze dni młodości dziecka upływały wśród gorączkowego wrzenia, będącego zazwyczaj następstwem rewolucji. Korsyka, która od pół wieku marzyła o niepodległości, została właśnie na wpół zdobyta, na wpół sprzedana, i zaledwie wyswobodziła się z niewoli genueńskiej, uległa przemocy Francji. Paoli, pokonany pod Ponte Nuova, szukał wraz z siostrzeńcem i braćmi schronienia w Anglii, gdzie mu Alfieri poświęcił swego „Timoleona”. Nowo narodzone dziecko wdychało duszną atmosferę wzajemnej nienawiści jednych do drugich, dzwon zaś, w który uderzono przy jego chrzcie, drżał jeszcze odgłosem surm bojowych.

Karol Bonaparte, ojciec dziecka, i Letycja Ramolino, matka Napoleona, oboje z rodów patrycjuszowskich, pochodzący z czarującej wioski San-Miniato, położonej nieco wyżej Florencji, należeli zrazu do rządu przyjaciół Paolego. Z czasem jednak porzucili jego stronnictwo i ulegli wpływowi francuskim. Stąd też łatwo im przyszło uzyskać od pana de Marboeufa, który powrócił na wyspę jako gubernator, wylądowawszy na niej przed dziesięciu laty jako generał, przychylne poparcie, umożliwiające umieszczenie młodego Napoleona w Szkole Wojskowej w Brienne. Prośba o przyjęcie została uwzględniona, niedługo zaś potem na liście wychowanków szkoły w Brienne wpisano następujące słowa:

„Dnia dzisiejszego, 23 kwietnia 1779 r. wstąpił Napoleon Buonaparte, liczący lat dziewięć, miesięcy osiem i pięć dni do królewskiej Szkoły Wojskowej w Brienne-le-Chateau”.

Nowy przybysz był zatem Korsykaninem, czyli pochodził z kraju, który jeszcze dziś z takim wytrwałym uporem zwalcza cywilizację i choć utracił niepodległość, potrafił jednak zachować swój charakter narodowy. Młody uczeń mówił dialektem swej rodzinnej wyspy; wyróżniał się też ciemną barwą skóry, przepalanej słońcem Południa, odznaczał się wreszcie ponurym, przenikliwym wzrokiem mieszkańca gór. Wystarczyło to aż nadto, by wzniecić ciekawość współtowarzyszy i pobudzić ich wrodzoną niesforność; ciekawość wieku młodego jest bowiem z natury szydercza i nielitościwa. Jeden z profesorów, nazwiskiem Dupuis, zlitował się nad biednym, opuszczonym chłopcem, zadając sobie trud wyuczenia go języka francuskiego. Po trzech miesiącach nauki chłopiec uczynił takie postępy, że zdołał przyswoić sobie także pierwsze elementy łaciny; zawsze jednak odczuwał niechęć do języków martwych. Natomiast już w pierwszych godzinach nauki okazał wielkie zdolności w naukach matematycznych. Naturalnym wynikiem tego stanu rzeczy było, że młody Napoleon rozwiązywał kolegom zadania matematyczne, w zamian za co oni wyręczali go w pracach humanistycznych i przekładach, które zawsze uważał za rzecz okropną.

Pewne osamotnienie, w którym przez jakiś czas znajdował się młody Napoleon wskutek tego, że z początku nie umiał jeszcze wypowiadać swoich myśli, wytworzyło pomiędzy nim a towarzyszami szkolnymi zaporę, która nigdy już nie zanikła. Ponieważ jednak po owym pierwszym wrażeniu pozostało w nim przykre wspomnienie, przechodzące niemal w odrazę, zrodziła się w duszy młodego chłopca przedwcześnie dojrzała nienawiść do ludzi,

prowadząca do samotności. Niektórzy dopatrywali się w tym proroczych marzeń rodzącego się geniusza. Zresztą przeróżne okoliczności, które u innych ludzi uszłyby uwagi, nadają pewne cechy prawdopodobieństwa teorii wyrażanej przez niektórych historyków, że niezwykleму życiu człowieka towarzyszyć musi niezwykle dzieciństwo.

W wolnych chwilach młody Bonaparte zajmował się z dużym zamiłowaniem uprawą niewielkiej, ogrodzonej działki. Pewnego dnia jeden z jego kolegów wszedł na płot, chcąc zobaczyć, co też porabia w swoim ogródku samotny Napoleon. Ku swemu zdumieniu spostrzegł, że układa on gorliwie kamienie wedle zasad taktyki wojennej, przy czym ranga wojskowa oznaczona była wielkością kamieni. Ponieważ nieproszony widz zachowywał się hałaśliwie, Napoleon odwrócił się, wzywając towarzysza szkolnego, by natychmiast zszedł z płotu. Ów jednak drwił sobie z młodocianego stratega, co wreszcie do tego stopnia wzburzyło Napoleona, iż porwał największy kamień i wycelował w sam środek czoła kolegi, który runął na ziemię poważnie ranny.

W dwadzieścia pięć lat potem, gdy Napoleon znajdował się u szczytu sławy zameldowano mu, iż pewien człowiek, podający się za byłego kolegę szkolnego prosi cesarza o posłuchanie. Ponieważ zdarzało się często, że wszelkiego rodzaju oszuści chwyтали się tego fortelu, by dostać się przed jego oblicze, Napoleon polecił adiutantowi, aby zapytał o nazwisko tego dawnego kolegi z ławy szkolnej. Nazwisko jednak nie wywołało żadnych skojarzeń, toteż powiedział do adiutanta: „Idź pan jeszcze raz do niego i zapytaj, czy nie mógłby mi przytoczyć pewnych okoliczności, które by obudziły moją pamięć”. Spełniwszy rozkaz, adiutant wrócił z wiadomością, że obcy przybysz zamiast odpowiedzi wskazał bliźnię na czole. „Ah! teraz przypominam sobie – rzekł cesarz – rzuciłem mu generałem dywizji w głowę!”

W zimie 1783–1784 spadły takie masy śniegu, że wszelka zabawa na wolnym powietrzu była niemożliwa. Będąc zmuszony spędzać wolny czas, poświęcony zazwyczaj pracy w ogródku, wśród głośniejszej wrzawy wesołych kolegów, Napoleon zaproponował urządzenie wycieczki za miasto i wybudowanie tam łopatami ze śniegu warownej twierdzy, którą następnie jedna część chłopców miałaby zaatakować, druga zaś bronić. Projekt był zbyt ponętny, by go młodzi chłopcy mieli odrzucić. Oczywiście twórca projektu został wybrany dowódcą jednego z oddziałów. Oblężona twierdza nie mogła oprzeć się jego sile, zdobyto ją po bohaterskiej obronie nieprzyjaciół. Już nazajutrz śniegi stajały; jednak ten nowy sposób spędzania czasu głęboko utkwiał w pamięci uczniów. Już jako dorośli ludzie wspominali chętnie tę zabawę z młodych lat, kiedy zaś widzieli, jak jedno miasto po drugim poddawało się Napoleonowi, musieli przypominać sobie zwały śniegu, po których wspinali się pod wodzą Bonapartego.

W miarę dorastania Napoleona rozwijały się w nim idee, które od dawna kiełkowały na dnie jego duszy, pozwalając spodziewać się owoców, które kiedyś miały wydać. Znienawidzona mu była myśl o dokonanym przez Francję podboju Korsyki, co jako jedyne Korsykanina w szkole ukazywało jako pokonanego wśród zwycięzców. Gdy razu pewnego Napoleon był na obiedzie u jednego z urzędników zakładu, kilku profesorów, którzy znali narodową wrażliwość swego wychowanka, zaczęło umyślnie wyrażać się w duchu nieprzychylnym o Paolim. Rumieniec natychmiast oblał oblicze chłopca. Nie mogąc dłużej się powstrzymać wykrzyknął: „Paoli był wielkim człowiekiem, kochającym swą ojczyznę tak, jak tylko dawni Rzymianie kochać umieli. Nigdy nie wybaczę memu ojcu, który niegdyś był jego adiutantem, iż dopomógł do zjednoczenia Korsyki z Francją. Powinien był pójść za gwiazdą przewodnią swego wodza i razem z nim paść w walce”.

Tymczasem młody Napoleon osiągnął czwarty kurs nauki i w zakresie nauk matematycznych umiał niewiele mniej od swego nauczyciela, księdza Patraulca. Był już w wieku, w którym przechodziło się z zakładu w Brienne do wyższej szkoły w Paryżu. Świadectwa miał dobre, w sprawozdaniu zaś pana de Kéralio, inspektora szkół wojskowych,

wystosowanym do króla Ludwika XVI, powiedziano:

„Kawaler de Bonaparte (Napoleon), urodzony 15 sierpnia 1769 r., wysoki na cztery stopy, dziewięć cali i dziesięć linii, ukończył kurs czwarty. Budowa cielesna dobra, zdrowie wyborne, charakter posłuszny, przyzwoity i wdzięczny, zachowanie bardzo porządne, odznaczał się zawsze zdolnością i zamiłowaniem do matematyki. W historii i geografii wcale dobre postępy, w ćwiczeniach z literatury pięknej i łaciny (którą doprowadził tylko do czwartego kursu) wyniki mniej zadowalające. Znakomicie nadaje się na marynarza. Zasługuje na przyjęcie do Szkoły Wojskowej w Paryżu”.

Na podstawie tego świadectwa przyjęto młodego Bonapartego do paryskiej Szkoły Wojskowej.

O pobycie Bonapartego w tej szkole nie ma nic szczególnego do powiedzenia. Należałoby wspomnieć tylko o memoriale, który wystosował do swego byłego inspektora, księdza Bertona. Młodociany ustawodawca znalazł w urzędzeniach tej szkoły szereg błędów, których nie mógł pominąć milczeniem rozwijający się w nim talent administratora. Jednym z tych błędów – i to najniebezpieczniejszym ze wszystkich – był zbytek otaczający wychowanków zakładu. „Zamiast utrzymywać liczną służbę dla wychowanków szkoły – pisał – zamiast dawać im dwa razy na dzień jedzenie składające się z dwóch dań, zamiast utrzymywać kosztowną ujeżdżalnię dla jeźdźców i koni, należałoby raczej przyzwyczaić studentów, jednakże bez uszczerbku dla toku studiów, do samodzielnego usługiwania sobie, z wyjątkiem skromnej kuchni, o którą sami dbać nie powinni. Należy im podawać suchary i tym podobne rzeczy, przyzwyczaić ich do czyszczenia ubrań, butów i trzewików. Jako że są ubodzy i do służby wojskowej przeznaczeni, jest to jedyny sposób wychowania, które by im dać należało. Żywieni skromnie i zmuszeni sami dbać o swą odzież, nabiorą hartu i nauczą się wytrzymywać surowość pół roku, podległym zaś żołnierzom wpajac ślepy szacunek i posłuszeństwo”. Bonaparte liczył piętnaście i pół roku, gdy zaprojektował te reformy. W dwadzieścia lat potem założył Szkołę Wojskową w Fontainebleau.

W roku 1785, po znakomicie złożonych egzaminach, Bonaparte został mianowany podporucznikiem w pułku La fére, stacjonującym wówczas w Delfinacie. Po krótkim pobycie w Grenoble zamieszkał w Valence. Tutaj kilka słonecznych promieni wspaniałej przyszłości zaczęło rozjaśniać mroki, w których tkwił wówczas młody, nie znany człowiek. Wiadomo, że Bonaparte był ubogi. Ale mimo ubóstwa stale pamiętał o popieraniu rodziny, a brata Ludwika, młodszego od siebie o dziesięć lat, sprowadził do siebie z Korsyki. Obaj mieszkali u panny Bon, przy ulicy Wielkiej 4. Bonaparte zajmował sypialnię, na górze zaś, na poddaszu, mieszkał mały Ludwik. Wierny przyzwyczajeniu nabytemu w Szkole Wojskowej, które tak bardzo przydało mu się w późniejszych latach, podczas marszów wojennych, Napoleon budził brata wcześniej rano, pukając laską w sufit pokoju, po czym udzielał mu lekcji matematyki. Młody Ludwik, który z trudem tylko mógł podporządkować się temu rozkładowi zając, okazał się pewnego dnia jeszcze bardziej oporny, ociągając się dłużej aniżeli zazwyczaj z zejściem na dół.

Napoleon ponownie uderzył w sufit, aż w końcu opieszali uczeń nareszcie się pojawił.

- A cóż to się dziś z tobą dzieje, leniuchu? – zawołał Bonaparte.
- O, bracie – odrzekł Ludwik – taki piękny sen miałem!
- O czym śniłeś?
- Śniło mi się, że byłem królem.
- Kim więc ja wówczas byłem... Cesarzem? – spytał młody oficer, wzruszając ramionami.
- Nuże, do roboty!

Po czym nauka szła zwykłym trybem, udzielana przez przyszłego cesarza przyszłemu królowi.¹

Mieszkanie Bonapartego położone było naprzeciw sklepu bogatego księgarza nazwiskiem

¹ Świadkiem tej sceny był pan Parmentier, lekarz pułku, w którym Napoleon służył jako podporucznik.

Marc-Aurèle, na którego domu widniała data, zdaje się, 1530. Był zatem budynek ten klejnotem z epoki Renesansu. Tutaj to spędzał młody oficer niemal każdą wolną chwilę, która mu pozostawała po zajęciach służbowych i nauczaniu brata, a czas tu spędzony, jak to wnet zobaczymy, nie poszedł na marne.

Dnia 7 października 1808 r. Napoleon wydał w Erfurcie uroczystą ucztę. Gośćmi jego byli: car Aleksander, królowa Westfalii, król bawarski, król wirtemberski, król saski, książę Wilhelm pruski, książęta panujący z Oldenburga, Meklemburg-Schwerina i Weimaru oraz książę prymas. W pewnej chwili rozmowa zesłała na temat złotej bulli, która do czasu utworzenia Związku Reńskiego określała liczbę i przymioty elektorów cesarza rzymskiego. Książę prymas mówił szczegółowo o tej bulli wspominając, że pochodziła ona z roku 1409.

– Mam wrażenie, że Wasza Eminencja się myli – rzekł Napoleon z uśmiechem – bulla, o której mowa, ogłoszona została w roku 1356, za panowania cesarza Karola IV.

– Tak się rzecz miała w istocie, sire – odrzekł książę prymas – teraz przypominam sobie, ale skądże wie o tym Wasza Cesarska Mość?

– Gdy byłem jeszcze zwyczajnym podporucznikiem artylerii... – jął opowiadać cesarz.

Przy tych słowach uwidoczniło się na twarzach dostojnych gości uczucie takiego ożywienia, że opowiadający mimo woli przerwał. Rychło jednak z uśmiechem opowiadał dalej:

„Gdy miałem zaszczyt być zwyczajnym podporucznikiem artylerii, służyłem przez trzy lata w garnizonie Valence. Nie udzielałem się towarzysko i żyłem w zupełnym odosobnieniu. Natomiast szczęśliwy traf sprawił, że mieszkałem w pobliżu niezwykle uczonego i bardzo uprzejmego księgarza. Bibliotekę jego przestudiowałem podczas tych trzech lat służby raz i drugi, i nie zapominałem nawet tego, co nie odnosiło się do mojej specjalności. Ponadto natura obdarzyła mnie dobrą pamięcią do cyfr i często zdarza się, że ministrom moim przytaczam poszczególne pozycje i ogólne sumy ich najstarszych nawet rachunków”.

Nie było to jednak jedyne wspomnienie Napoleona z Valence. Do niewielu osób, które Napoleon odwiedzał w Valence, należał pan de Tardivon, opat z Saint-Ruf, którego zakon niedawno został rozwiązany. W domu jego Bonaparte poznał Karolinę de Colombier, do której zapalał miłością. Rodzina owej panny zamieszkiwała dworek wiejski odległy o pół godziny drogi od Valence. Młody oficer miał dostęp do domu Karoliny i często bywał tam z wizytą. Tymczasem pewien szlachcic z Delfinatu, nazwiskiem Bressieux, wystąpił jako konkurent o rękę panny. Napoleon spostrzegł, że czas najwyższy oświadczyć się, jeśli nie ma się to stać za późno. Napisał tedy do Karoliny obszerny list, w którym wyraził wszystkie uczucia, jakie wobec niej żywił, prosząc zarazem o zawiadomienie o tym rodziców. Ci jednak, mając do wyboru między nie mającym żadnych widoków oficerkiem a mającym szlachcicem, wybrali za zięcia tego ostatniego. Bonaparte dostał rekuzę w sposób możliwie najmniej drażliwy, a list jego wręczono trzeciej osobie, która go miała zwrócić Napoleonowi. Młody podporucznik odmówił przyjęcia listu. „Proszę go zachować – rzekł – będzie to kiedyś dokument mojej miłości i świadczyć będzie o czystości moich uczuć wobec panny Karoliny”.

List ten rodzina przechowuje po dziś dzień. W trzy miesiące potem panna Karolina poślubiła kawalera de Bressieux.

W roku 1806 pani de Bressieux została powołana na dwór w charakterze damy dworu cesarzowej-matki, jej brat został mianowany prefektem Turynu, małżonek zaś podniesiony do godności barona i ustanowiony zarządcą lasów państwowych.

Kiedy Napoleon opuścił Valence, zostawił u swego piekarza, nazwiskiem Coriol, dług w kwocie trzech franków dziesięciu sous.

Młody Korsykanin przybył do Paryża równocześnie z ziomkiem swym Paolim. Konstytuanta nadała Korsyce prawo korzystania z dobrodziejstwa ustaw francuskich, Mirabeau zaś oświadczył z trybuny, iż nadeszła chwila, gdy należy powołać z powrotem do kraju zbiegłych patriotów, którzy walczyli w obronie wyspy. W ten sposób Paoli wrócił do

ojczyzny. Stary przyjaciel ojca powitał Napoleona jak własnego syna, młody marzyciel zaś znalazł się w obliczu swego bohatera, który dopiero co mianowany został namiestnikiem i komendantem wojskowym wyspy.

Bonaparte otrzymał urlop, który wykorzystał, aby udać się za Paolim i zobaczyć ze swą rodziną, którą opuścił przed sześciu laty. Patriotyczny generał powitany został serdecznie przez wszystkich zwolenników niepodległości, młody oficer zaś był świadkiem triumfu sławnego wygnańca. Entuzjazm był tak wielki, że jednogłówną wolą wszystkich obywateli Paoli został wyniesiony do godności komendanta Gwardii Narodowej i przewodniczącego zarządu okręgowego. Przez pewien czas Paoli pozostawał w zupełnej zgodzie z Konstytuanta paryską. Jednak wniosek księdza Charriera, który zaproponował, by Korsykę zamienić z księciem Parmy na Piacenzę, tę zaś oddać papieżowi jako odszkodowanie za Awignon, przekonał Paolego, jak małą wagę przywiązuje Francja do posiadania jego ojczyzny. W tym czasie zdarzyło się, iż rząd angielski, który udzielił Paolemowi schronienia, gdy ten był wygnańcem, nawiązał z nowym prezydentem rokowania. Paoli sam nie tał, iż woli bardziej konstytucję angielską od francuskiej, którą właśnie zaczęto opracowywać. Z tą chwilą rozeszły się drogi młodego oficera i sędziwego generała. Bonaparte pozostał obywatelem francuskim, Paoli zaś stał się znów wodzem Korsyki.

Z początkiem roku 1792 Bonaparte został odwołany z powrotem do Paryża. Odnalazł tam swego dawnego kolegę z ławy szkolnej, Bourrienne'a, który powrócił właśnie z podróży przez Prusy i Polskę drogą na Wiedeń.

Obaj towarzysze szkolni nie czuli się szczęśliwi. Postanowili więc dla ulżenia swej niedoli dźwigać ją wspólnymi siłami. Jeden ubiegał się o stanowisko w armii, drugi chciał otrzymać posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ponieważ usiłowania wypadły niepomyślnie, zaczęli snuć plany wielkich interesów handlowych, których jednak z powodu braku kapitału nie mogli wykonać. Pewnego dnia postanowili wydzierżawić kilka domów, których budowę właśnie rozpoczęto na ulicy Montholon, jednak warunki stawiane przez właścicieli były tak wygórowane, że obaj młodzieńcy zmuszeni byli zrezygnować z planu. Opuszczając zaś mieszkanie przedsiębiorcy budowlanego stwierdzili, iż nie tylko nie jedli jeszcze obiadu, ale nawet nie mieli ani grosza w kieszeni, by móc zaspokoić głód. W tej przykłej sytuacji Napoleon widział tylko jedno wyjście: zastawił zegarek.

Nadszedł tymczasem 20 czerwca, ponura przygrywka 10 sierpnia. Obaj młodzieńcy spotkali się na śniadaniu w pewnej restauracji przy ulicy Świętego Honoriusza i właśnie kończyli posiłek, gdy nagle doszły ich z ulicy głośnie okrzyki i wołania: „*Ça ira!* Niech żyje naród! Niech żyją sankiuloci! Precz z prawem weta!”. Podeszli do okna i ujrzeli tłum złożony z 6000-8000 ludzi, biegnący pod wodzą Santerre'a i markiza de St. Hurugues w stronę Zgromadzenia Narodowego. „Chodźmy za tą kanalia!” rzekł Napoleon, po czym obaj ruszyli do Tuileries. Na trasie u brzegu Sekwany zatrzymali się. Napoleon oparł się o drzewo, Bourrienne usiadł na poręczy.

Nie widzieli stąd co zaszło, domyślali się jednak wypadków, gdy wtem otworzyło się okno prowadzące do ogrodu i ukazał się w nim Ludwik XVI z czerwoną czapką na głowie, nasadzoną mu końcem piki przez człowieka z tłumy.

– *Coglione! coglione!* – mruknął w swym korsykańskim dialekcie młody oficer, który do tej chwili stał w milczeniu i głębokiej zadumie.

– Co według ciebie powinien uczynić? – zapytał Bourrienne przyjaciela.

– Czteryście do pięciuset ludzi zmieść armatami – odrzekł Bonaparte – reszta pierzchłaby dobrowolnie.

Przez cały dzień mówił tylko o tej scenie, która wywarła na nim olbrzymie wrażenie.

Tak oto Napoleon ujrział pierwsze wypadki rewolucji francuskiej, rozwijające się przed jego oczyma. Jako zwyczajny widz przeżył piekło 10 sierpnia i rzeź 2 września. Gdy następnie wciąż jeszcze nie otrzymywał przydziału w armii, postanowił ponownie wyruszyć

w drogę na Korsykę.

Tajne układy Paolego z rządem angielskim wzięły podczas nieobecności Napoleona taki obrót, że nie można już było mieć jakichkolwiek złudzeń co do planów starego generała. Jakoż rozmowa, którą odbył młody oficer z sędziwym powstańcem w domu gubernatora Corte, doprowadziła do zerwania. Dawni przyjaciele rozeszli się, by spotkać się jeszcze na polu walki. Tego samego wieczoru jeden z pochlebców Paolego usiłował w jego obecności oczernić Napoleona. „Zamilcz – rzekł doń generał, kładąc palce na wargach – ten młodzieniec jest człowiekiem dzielnym i prawym”.

Wkrótce Paoli jawnie rozwinął sztandar powstania. Dnia 23 czerwca 1793 r. mianowany został przez stronników Anglii naczelnym wodzem i prezydentem konsulatu w Corte, a 17 lipca Konwent Narodowy ogłosił go wyjętym spod prawa. Napoleon był wtedy nieobecny w stolicy, nareszcie bowiem uzyskał tak upragniony przydział do czynnej służby. Otrzymał awans na komendanta Gwardii Narodowej, znalazł się na pokładzie floty admirała Trugueta. Gdy Bonaparte przybył znów na Korsykę, wyspa znajdowała się w ogniu powstania. Członkowie Konwentu Salicetti i Lacombe Saint-Michel, którzy otrzymali polecenie wykonania dekretu skierowanego przeciwko powstańcom, musieli cofnąć się do Calvi. Bonaparte pospieszył im z pomocą, usiłując wespół z nimi zaatakować Ajaccio. Atak jednak został odparty. Tego samego dnia w mieście wybuchł pożar, zamieniając dom rodziny Bonapartów w popiół i zgliszcza. Rychło też rząd rewolucyjny skazał Bonapartów na wieczyste wygnanie. Pożar pozbawił ich dachu nad głową, banicja zaś odebrała im ojczyznę. W tej niedoli cała nadzieja rodziny zwracała się ku Napoleonowi, ten zaś wpatrzony był we Francję. Nieszczęsna rodzina wygnańców wsiadła na słabą łupinkę, przyszedł zaś Cezar płynął niesiony przez żagle, osłaniając skrzydłami szczęścia swoich czterech braci, z których trzem przeznaczona była korona królewska, oraz trzy siostry, z których jedna miała otrzymać diadem królowej.

Cała rodzina zatrzymała się w Marsylii, zwracając się o opiekę do Francji, z powodu której została wygnana. Rząd wysłuchał jej prośby. Józef i Lucjan otrzymali stanowiska w zarządzie armii, Ludwik został podoficerem, Bonaparte zaś przeszedł w randze porucznika, zatem z awansem, do czwartego pułku piechoty. Rychło też awansował na kapitana drugiej kompanii tego samego korpusu, stacjonującego wówczas w Nicei.

Nadszedł krwawy rok 1793. Połowa kraju walczyła przeciwko drugiej połowie, zachód i południe stały w płomieniach. Lyon zdobyty został po czteromiesięcznym oblężeniu, Marsylia poddała się Konwentowi, Tulon zaś oddał swój port w ręce Anglików.

Przeciwko zdradzieckiemu Tulonowi wyruszyła armia złożona z 30 000 ludzi, która pod wodzą Kellermanna oblegała przedtem Lyon. Walka rozpoczęła się w wąwozach Ollioules. Generał du Tayle, który miał dowodzić artylerią, był nieobecny; generał Dammartin, jego zastępca, stał się w pierwszej potyczce niezdolny do walki. Na czele oddziałów stanął więc jego zastępca, był nim Bonaparte. W tym wypadku szczęśliwy traf przyszedł z pomocą geniuszowi, choć kto wie, czy dla geniusza przypadek nie jest przeznaczeniem.

Otrzymał nominację, Bonaparte przedstawił się sztabowi generalnemu. Zaprowadzono go przed generała Carreaux, dumnego, od stóp do głowy wyzłoconego oficera, który zapytał Napoleona, czym może mu służyć. Młody oficer pokazuje mu nominację, stosownie do której ma pod rozkazami generała kierować operacjami artylerii. „Artyleria – odparł butny generał – niepotrzebna nam zgoła. Dziś wieczorem zdobędziemy Tulon bagnietami, a jutro puścimy miasto z dymem”.

Mimo jednak wielkiej pewności siebie, nie udało się generałowi zdobyć miasta bez uprzedniego rozpoznania. Przeczekał więc cierpliwie do następnego dnia, ale już o świcie wsiadł do wozu polowego, by skontrolować wykonanie pierwszych dyspozycji do ataku. Towarzyszył mu adiutant oraz szef batalionu Bonaparte. Za namową Napoleona generał, choć niechętnie, dał spokój bagnietom, powierzając główną rolę artylerii. Skutkiem tego sam wydał

rozkazy, które uważał za stosowne, i przyszedł właśnie, by dopilnować zleceń i zapewnić im sukces.

Zaledwie minęli wzniesienie, z których roztacza się widok na Tulon, kąpiący swe stopy w morzu, ukrywając się wśród na wpół orientalnego ogrodu, gdy generał oraz towarzyszący mu dwaj młodzi ludzie wysiedli z wozu, znikając po chwili w pobliskiej winnicy. Tutaj generał spostrzega kilka armat ustawionych za pewnego rodzaju opancerzeniem. Napoleon ogląda się za siebie, pojęcia nie mając, co się wokoło dzieje. Generałowi wydaje się to zdziwienie młodego szefa batalionu wcale zabawne, powiada tedy do adiutanta z uśmiechem zdradzającym pewność siebie i zadowolenie:

- To są nasze baterie, nieprawdaż?
- Tak jest, generale – odpowiada adiutant.
- A nasz park amunicyjny?
- Cztery kroki stąd.
- A nasze pociski?
- Rozżarza się je w najbliższej chatce.

Oczom własnym nie zawierzyłby Napoleon, musi jednak dać wiarę uszom. Wprawnym wzrokiem artylerzysty odmierza młody oficer przestrzeń i dochodzi do przekonania, że bateria oddalona jest od miasta o co najmniej półtorej godziny. Zrazu Napoleon przypuszczał, że generał chce wypróbować swego młodego szefa batalionu, jednak powaga, z jaką Carteaux w dalszym ciągu traktuje swe zarządzenia, nie pozostawia żadnych wątpliwości. Rzuca tedy ostrożnie uwagę na temat odległości, wyrażając obawę, że rozżarzone pociski nie osiągną miasta.

– Naprawdę tak sądzisz? – zapytał Carteaux.

– Obawiam się o to, generale – odparł Bonaparte. – Zresztą można by przecież, nie używając żarzących pocisków, wypróbować nie rozżarzonymi, by zmierzyć odległość strzału”.

Pomysł podoba się generałowi, każe tedy nabić armatę i wystrzelić. I podczas gdy generał obserwuje mury miasta, by sprawdzić na nich skutki strzału, Napoleon wskazuje mu kulę w odległości niespełna tysiąca kroków, jak uderza w drzewa oliwne, powoduje bruzdy na ziemi, odbija się i podskakuje, tracąc siłę, przeleciawszy zaledwie trzecią część przestrzeni obliczonej przez generała.

Dowód był aż nadto przekonywający. Carteaux jednak nie chciał dać za wygraną i rzekł: „To ci arystokraci marsylscy zepsuli proch”.

Skoro jednak pociski nie niosą dalej, trzeba się uciec do innych środków. Wszyscy trzej wracają do głównej kwatery, gdzie Napoleon każe podać plan Tulonu, rozwija go na stole i, rozważywszy przez chwilę położenie miasta i różnych miejsc obronnych, wskazuje na dopiero co wybudowany przez Anglików szaniec, oświadczając ze zdecydowaną zwięzłością geniusza: – „Tu jest Tulon”.

Carteaux jednak, który nie mógł nadążyć za biegiem myśli Napoleona, wziął jego uwagę dosłownie i zwracając się do swego adiutanta rzekł:

„Zdaje mi się, że «kapitan Armata» niezbyt jest mocny w geografii”.

Był to pierwszy przydomek Bonapartego. Zobaczymy potem, wśród jakich okoliczności przezwano go „małym kapralem”.

W tej chwili do namiotu wszedł deputowany Gasparin, o którym Napoleon słyszał, że jest nie tylko szczerym, szlachetnym i dzielnym patriotą, ale także rozumnym i mądrym człowiekiem. Szef batalionu podchodzi wprost do niego ze słowami:

– Przedstawicielu ludu, jestem szefem batalionu artylerii. Wskutek nieobecności generała du Tayle i ponieważ generał Dammartin jest ranny, broń ta pozostaje pod moim dowództwem. Żądam, by nikt poza mną do sprawy się nie mieszał, w przeciwnym razie nie ręczę za nic.

– O – zawołał ze zdziwieniem deputowany – kimże to jesteś, by za cokolwiek ręczyć? –

Zdumiony był, że młodzieniec dwudziestotrzyletni przemawia do niego takim tonem i z taką pewnością siebie.

– Kim jestem – odparł Napoleon, prowadząc go do kąta i mówiąc szeptem – jestem człowiekiem, który się zna na rzeczy, a dostał się pod komendę ludzi, którzy o niczym nie mają pojęcia. Proszę zapytać generała o jego plan bitwy, a zobaczycie obywatelu, czy mam słuszność, czy jej nie mam.

Młody oficer przemawiał z takim przekonaniem, że Gasparin nie wahał się ani przez chwilę.

– Generale – rzekł, zbliżając się do Carteaux – przedstawiciele ludu życzą sobie, abyś w ciągu trzech dni przedłożył swój plan bitwy.

– Wystarczy, że zaczekasz trzy minuty, a dam ci go – odrzekł Carteaux.

Generał usiadł, wziął do ręki pióro, po czym na małym świstku papieru napisał ów osławiony plan strategiczny, który stał się swego rodzaju wzorem, a który brzmiał, jak następuje:

„Dowódca artylerii będzie przez trzy dni bombardował Tulon, po czym trzema kolumnami zaatakuję miasto i zdobędę je.

Carteaux”

Plan ten wysłano do Paryża i wręczono komisji strategicznej, która orzekła, że jest on raczej humorystyczny aniżeli wojskowy. W rezultacie Carteaux został odwołany, na jego miejsce zaś wysłano Dugommiera.

Przybywszy na pozycje, przekonał się nowy dowódca, że jego szef batalionu wydał już wszystkie zarządzenia. Chodziło w tym wypadku o oblężenie, przy którym przemoc i odwaga nie miałyby żadnego zastosowania; armaty i taktyka musiały wpieryw oczyścić pole. Nie było też ani jednego punktu na wybrzeżu, na którym by nie przystąpiła do dzieła artyleria. Armaty grzmiały zewsząd na kształt olbrzymiej burzy, której błyskawice się krzyżują, grzmiały ze szczytów gór, z wysokich murów, grzmiały od strony równiny i morza. Zdawało się, jak gdyby nawałnica i wulkan zjednoczyły swe wszystkie moce.

Ogólny atak rozpoczął się 16 grudnia i odtąd oblężenie przeszło w nieustanny szturm. Nazajutrz rano zdobyli nasi forty Pas-de-Leidet i Croix-Faron, w południe wypędzili sprzymierzonych z szanca Saint André, wreszcie pod wieczór wtargnęli republikanie w blasku błyskawic, burzy i armat do szanców angielskich. Trafiony bagnetem w kolano, Napoleon, osiągnąwszy swój cel, czuł się już panem miasta i rzekł do generała Dugommiera, wyczerpanego utratą krwi po ranach odniesionych w ramię i nogę:

– Wypocznijcie, generale, zdobyliśmy właśnie Tulon, pojutrze będzie się generał mógł wyspać.

Już 18 grudnia padły dalsze forty l'Eguilette i Balagnier, po czym można było skierować baterie na Tulon. Gdy wojska sprzymierzone ujrzały płonące domy w mieście i usłyszały świst kul przelatujących nad ulicami, powstały kłótnie w ich obozie. Nagle wojska oblężnicze ujrzały pożar w kilku punktach miasta, których nie bombardowano. To Anglicy, zdecydowawszy się na opuszczenie Tulonu, podpalili arsenał, magazyny marynarki oraz okręty francuskie, których nie zdołali z sobą zabrać. Na widok płomieni podnosi się zewsząd okrzyk wściekłości. Cała armia domaga się szturm. Ale już jest za późno. Anglicy zaczynają wsiadać na okręty w ogniu naszych baterii, pozostawiając na łaskę losu tych, którzy zdradzili im Francję, teraz zaś w dowód wdzięczności zostali z kolei przez nich zdradzeni. Tymczasem noc zapada. Płomienie, które w kilku punktach miasta wystrzeliły wysoko w górę, gasną nagle wśród głośniego syku. To galernicy zerwali kajdany, którymi byli przykuci, i teraz gaszą wzniesiony przez Anglików pożar.

Nazajutrz, 19 grudnia wojska republikańskie wkroczyły do miasta, wieczorem zaś, zgodnie z przepowiednią Napoleona, generał Dugommier ułożył się do snu w Tulonie.

Generał nie zapomniał zasług młodego szefa batalionu. W dwanaście dni po zdobyciu

miasta, Napoleon otrzymał nominację na generała brygady. Odtąd przechodzi do historii i przetrwa w niej już po wieczne czasy.

A teraz szybkimi krokami towarzyszyć będziemy Bonapartemu w dalszej drodze jego życia, którą przebył jako generał, konsul, cesarz i wygnaniec. Gdy go potem ujrzymy, niby świecący meteor, na chwilę jeszcze w blasku tronu, pójdziemy za nim na wyspę daleką, gdzie zakończył życie, tak jak znaleźliśmy go na owej wyspie, na której przyszedł na świat.

GENERAL BONAPARTE

Widzieliśmy, że za wybitne zasługi, położone dla republiki przy zdobyciu Tulonu, awansował Napoleon na generała artylerii w armii nicejskiej. W Nicei młodego generała łączyły bliskie stosunki z młodszym Robespierrem, który przy tej armii zajmował stanowisko deputowanego ludu. Odwołany na krótko przed 9 termidora z powrotem do Paryża, Robespierre daremnie starał się wpłynąć na Napoleona, by ten poszedł za nim do stolicy. Napoleon stanowczo odmówił. Jeszcze nie wybiła jego godzina.

Zatrzymywał go także inny wzgląd, i miałaby to znowu być przypadek, który roztoczył swe opiekuńcze skrzydła nad geniuszem? Tym razem szczęśliwy traf ucieleśnił się w pięknej i młodej małżonce posła, przedstawiciela ludu, która towarzyszyła mężowi w jego urzędowej podróży do Nicei. Napoleon żywił wobec niej uczucia głębokiej sympatii, której dowody dawał na sposób prawdziwie wojowniczy. Razu pewnego, na przechadzce w pobliżu Col di Tenda, młody generał zapragnął dać swej pięknej towarzysze widowisko miniaturowej bitwy. Nakazał tedy posterunkom wszcząć utarczkę. Dwunastu ludzi padło ofiarą tej rozrywki, a Napoleon, będąc już na Wyspie Świętej Heleny, nieraz przyznawał, że tych dwunastu ludzi zabitych bez istotnej przyczyny, tylko z czystego kaprysu, sprawia mu daleko większe wyrzuty sumienia, aniżeli śmierć 600 000 żołnierzy, których kości pozostawił w lodowych stepach Rosji.

Tymczasem reprezentanci ludu przy armii włoskiej powzięli decyzję, której mocą generał Bonaparte miał się udać do Genui, by w porozumieniu z przedstawicielami republiki francuskiej prowadzić układy z rządem genueńskim.

Gdy Napoleon spełniał powierzoną mu misję, Robespierre został stracony na szafocie, w miejsce zaś terrorystycznego reprezentanta ludu objęli władzę Albitte i Salicetti. Ci dwaj, przybywszy do Barcelonetty, powzięli następującą uchwałę – miała to być podzięką dla wracającego Napoleona – którą ogłosili wszem i wobec:

„Zważywszy, że generał Bonaparte, głównodowodzący artylerii w armii włoskiej, nadużył zaufania przedstawicieli ludu swoim podejrzanym zachowaniem się, a szczególnie ostatnią podróżą do Genui, postanawiamy, iż:

Generał brygady Bonaparte zostaje aż do odwołania usunięty ze swego stanowiska. Pod osobistą odpowiedzialnością generała głównodowodzącego wspomnianej armii należy go uwięzić i pod silną strażą sprowadzić do Paryża, gdzie stanąć ma przed wydziałem bezpieczeństwa kraju.

Albitte, Salicetti, Laporte”.

Uchwałę wykonano i Bonaparte został osadzony w więzieniu w Nicei, gdzie pozostał przez 14 dni, po czym decyzją tych samych ludzi odzyskał wolność.

Napoleon uniknął niebezpieczeństwa po to tylko, by go spotkać miała inna przykrość. Termidor przyniósł z sobą gruntowne zmiany w komisjach Konwentu. Pewien stary kapitan, nazwiskiem Aubry, stanął na czele komisji, a pierwszą jego czynnością był nowy plan organizacji armii, w którym sam sobie nadał rangę generała artylerii. Co się tyczy Napoleona, nadano mu jako zadośćuczynienie za odebrane stanowisko generała artylerii – stopień

generała piechoty w Wandei. Uważając jednak teren wojny domowej w małym zakątku Francji za zbyt ciasny dla swej ambicji, odmówił przyjęcia nadanego mu stanowiska. W rezultacie został mocą uchwały komisji Konwentu skreślony z listy czynnych oficerów.

Zbyt już uważał się Napoleon za człowieka, którego we Francji nikt nie zdoła zastąpić, by go ta niesprawiedliwość nie miała głęboko urazić. Choć nie osiągnął jeszcze w życiu tych wyżyn, z których roztacza się widok na cały horyzont, który należało jeszcze przebiec, to jednak żywił już na to niejaki nadzieje, nie mając jeszcze pewności. Nadzieje te obecnie rozwiały się. On, który przewidywał w sobie tyle możliwości i tyle geniuszu, widział się teraz skazany na długą, jeśli nie wieczną bezczynność, i to w okresie, w którym każdy kto szedł naprzód, osiągał swój cel!

Na razie wynajął pokój w domu przy ulicy Mail, sprzedał za 6000 franków swe konie i powóz i z tą niewielką sumką pieniędzy postanowił osiąść na wsi. Wzmoczona siła wyobraźni łatwo czyni przeskok z jednej skrajności w drugą. Wygnany z obozu wojennego, nie widział Napoleon przed sobą nic ponad życie na wsi. Nie mogąc być Cezarem, zamierzał zostać Cyncynatem.

W tej sytuacji przyszło mu znowu na myśl miasteczko Valence, gdzie nie znany nikomu przeżył tak szczęśliwie trzy lata. Tam to skierował swe kroki w towarzystwie brata Józefa, który wracał do Marsylii. W pobliżu Montélimar obaj wędrowcy zatrzymali się. Bonapartemu spodobało się położenie i klimat miejsca, zapytał tedy, czy nie można by w okolicy nabyć skromnego mająteczku ziemskiego. Ludzie odsyłają go do pana Grassona, bardzo uprzejmego adwokata, u którego obaj bracia oglądają niewielką posiadłość, nazwaną „Beuserret”, której sama nazwa – „Piękna siedziba” – świadczyła już o uroczym położeniu miejsca. Posiadłość ta spodobała się Napoleonowi i jego bratu, obawiali się jedynie, czy cena nie będzie zbyt wygórowana z uwagi na rozmiary i dobry stan majątku. Wreszcie zdobywają się na odwagę, by zapytać o cenę.

– Trzydzieści tysięcy franków.

Jakby za darmo!

Napoleon i Józef wracają do Montelimar, gdzie odbywają naradę. Niewielka sumka, którą razem posiadali, pozwala im na ulokowanie jej w tę przyszłą posiadłość, wyrażają tedy na trzeci dzień swą decyzję. Chcą jeszcze na miejscu dobić targu, tak im się „Beuserret” spodobało. Pan Grasson oprowadza ich na nowo po majątku. Obaj oglądają posiadłość jeszcze dokładniej aniżeli za pierwszym razem. Nagle, zdziwiony niepomiernie, że za tak piękny majątek ziemski żąda się tak niewiele, Napoleon zwraca się do właściciela z zapytaniem, czy nie ma jakiejś szczególnej przyczyny sprawiającej, że cena jest tak niska.

– Owszem – odpowiedział pan Grasson – dla panów jednak nie ma ona żadnego znaczenia.

– Mimo to – odrzekł Bonaparte – chciałbym ją znać.

– W majątku tym popełniono morderstwo.

– Kto dokonał mordu?

– Syn zabił ojca.

– Ojacobójstwo! – wykrzyknął Bonaparte, blednąc z przerażenia – uciekajmy stąd czym prędzej, Józefie!

Po czym, chwytając brata za ramię, wybiegł jak oparzony z domu, wsiadł z powrotem do powozu, a przybywszy do Montélimar zażądał koni i szybko odjechał do Paryża, podczas gdy Józef ruszył w dalszą drogę do Marsylii.

Brat Napoleona udał się tam, by poślubić córkę bogatego kupca, nazwiskiem Clary, który później stał się także teściem Bernadotte'a.

Natomiast Bonaparte, którego losy zawiodły do Paryża, tego wielkiego ośrodka wydarzeń, rozpoczął w stolicy na nowo życie samotne i skryte, co mu przyszło z ogromnym trudem. Ponieważ bezczynność stała się nieznośna, wystąpił wobec rządu z pisemnym memoriałem, w którym rozwinął myśl, iż w chwili, gdy cesarzowa Rosji zacieśniła przymierze z Austrią, w

interesie Francji leży wzmoczenie siły militarnej państwa tureckiego. Wychodząc z tego założenia, Napoleon oświadczył rządowi gotowość udania się z sześciu lub siedmiu oficerami różnych gatunków broni do Konstantynopola, aby wedle zasad wojskowych wyćwiczyć liczną i dzielną, lecz niezdiscyplinowaną armię sułtana.

Rząd nie uznał nawet za stosowne odpowiedzieć na memoriał, Napoleon więc musiał pozostać w Paryżu. Jakie by to skutki spowodowało dla historii świata, gdyby któryś z członków rządu umieścił na końcu tego memoriału jedno słowo: „Uwzględnione” – Bóg jeden raczy wiedzieć.

Tymczasem została uchwalona konstytucja roku III. Twórcy jej postanowili, aby dwie trzecie członków Konwentu Narodowego przeszło do nowych ciał ustawodawczych. Obaliło to do reszty nadzieje partii przeciwnej, która przy całkowitych, nowych wyborach spodziewała się przeprowadzić inną większość, odpowiadającą jej zapatrywaniom. Opozycja ta cieszyła się poparciem przeważającej części paryskich sekcji, które oświadczyły, iż tylko pod tym warunkiem przyjmą nową konstytucję, że przepis o ponownym wyborze dwóch trzecich zostanie cofnięty.

Konwent jednak trwał przy swej pierwotnej uchwale. Wśród sekcji podniosło się szemranie, a 25 września doszło do pierwszych zaburzeń.

Dnia 4 października sytuacja stała się tak dalece groźna, że Konwent doszedł do przekonania, iż najwyższa pora bronić swej pozycji. Wysłano więc do głównodowodzącego armii alpejskiej generała Aleksandra Dumasa,² bawiącego wówczas na urlopie, pisemny rozkaz, by natychmiast przybył do Paryża i objął komendę sił zbrojnych. Zanim jednak pismo doszło do rąk generała Dumasa, sytuacja z godziny na godzinę stawała się groźniejsza i nie było mowy o czekaniu na jego przybycie. Wobec tego w ciągu nocy członek Konwentu Barras został mianowany głównodowodzącym armią wewnątrz kraju. Nowemu dowódcy potrzebny był pomocnik, upatrzył sobie tedy – Napoleona.

Jak widać, los uśmiechnął się nareszcie do niego, a godzina przyszłości, która, jak powiadają, zawsze musi raz przynajmniej człowiekowi zaświtać, wybiła teraz właśnie dla Napoleona. Dnia 13 vendemiaire'a grzmiała już w stolicy armaty.

Sekcje, które Napoleon rozgromił, nadały mu przydomek „kartaczowiec”, Konwent zaś, który ocalił, mianował go dowódcą armii włoskiej.

Ów wielki dzień jednak miał wywrzeć wpływ nie tylko na karierę polityczną Napoleona. Również i w życiu prywatnym zwycięskiego wodza miała dokonać się zmiana. A stało się to w sposób następujący. Rozbrojenie sekcji przeprowadzone było z całą surowością, jak tego zresztą wymagały okoliczności. Pewnego dnia do sztabu generalnego wywalczył sobie dostęp mały chłopiec, liczący najwyżej dziesięć-dwanaście lat. Błagał on generała Bonaparte, by polecił zwrócić mu szablę swego ojca, który był generałem republiki. Wzruszony prośbą chłopca, Napoleon rozkazał odszukać szablę i zwrócić ją dziecku.

Na widok drogiej mu, a uważanej za straconą broni ojcowskiej, dziecko ucałowało rękojesć szabli, której dotykała dłoń ojca. Napoleonowi przypadła do serca ta niezwykła miłość synowska, okazał tedy dziecku tyle życzliwości, że matka chłopca poczuła się do obowiązku złożyć nazajutrz generałowi wizytę dziękczynną.

Chłopcem owym był – Eugeniusz, matką zaś – Józefina, wdowa po generale de Beauharnais, z którą Napoleon wziął 9 marca 1796 r. ślub cywilny, uzyskawszy dwa dni przedtem, na wniosek Carnota, nominację na głównodowodzącego armii włoskiej.

Dnia 12 marca 1796 r. Napoleon wyjechał do swej armii. W powozie miał 2000 ludiorów – było to wszystko, co mógł zebrać, dodawszy do swego i przyjaciół majątku subsydia otrzymane od Dyrektoriatu. Z sumą tą wyrusza na podbój Włoch. Wynosiła ona siódmą część pieniędzy, które zabrał Aleksander Wielki podejmując wyprawę do Indii.

Przybywszy do Nicei, zastał armię pozbawioną amunicji, środków żywności, odzieży i

² Ojciec autora książki, pisarza Aleksandra Dumasa (*przyp. Red.*).

dyscypliny. W kwaterze głównej rozkazał wypłacić wszystkim generałom po cztery luidory, aby mieli się za co wyekwipować i uzbroić, po czym wskazując dłonią na ziemię włoską, rzekł do żołnierzy:

– Towarzysze broni, wśród tych oto skał odczuwacie niedostatek wszystkiego, co wam potrzebne. Spójrzcie na żyzne równiny rozciągające się u stóp waszych. Będą one należały do was. Ruszajmy na ich zdobycie!

Była to mniej więcej ta sama mowa, którą przed dziewiętnastu wiekami wypowiedział do swoich żołnierzy Hannibal. Odtąd szedł w te strony tylko jeden człowiek, który był godny zająć miejsce obok Hannibala i Napoleona – Cezar!

Żołnierze, do których Napoleon skierował owe pamiętne słowa, byli niedobitkami armii broniącej się z wielkim trudem od dwóch lat wśród nagich skał wybrzeża genueńskiego przed naporem wroga, którego armia, licząca 200 000 ludzi, złożona była z najlepszych wojsk Austrii i królestwa Sardynii. Tę oto armię zaatakował Napoleon, mając zaledwie 30 000 ludzi, i w ciągu jedenastu dni pobił ją pięciokrotnie. Austriacy zostali oderwani od wojsk Piemontu, Provera wzięty do niewoli, król Sardynii zaś został zmuszony do podpisania w swej własnej stolicy aktu kapitulacji.

Następnie Napoleon posuwa się ku górnej Italii. Dziesiątego maja wojska francuskie pod osobistym brawurowym kierownictwem Napoleona forsują przejście rzeki Padu. Austriacka straż tylna rzuca się do ucieczki. Z kolei poddaje się Padwa, otwiera swe podwoje pałac mediolański, król Sardynii podpisuje układ pokojowy, a śladem jego idą książęta Parmy i Modeny.

Przy zawarciu układu z księciem Modeny Napoleon złożył pierwszy dowód swej bezinteresowności, odmawiając przyjęcia czterech milionów w złocie, zaofiarowanych mu w imieniu swego brata przez komendanta d'Este, mimo nalegań komisarza rządu przy armii francuskiej, by pieniądze te przyjął.

W tej wyprawie wojennej Napoleon otrzymał przydomek, który rychło zdobył popularność, a który w roku 1815 otworzył Bonapartemu podwoje Francji. Stało się to przy następującej okazji. Kiedy Napoleon objął naczelne dowództwo armii, wielki podziw weteranów i starych wiarusów budził młody wiek generała. Postanowili tedy sami nadawać wodzowi niższe stopnie wojskowe, których, jak sądzili, rząd mu nie nadał. Po każdej więc bitwie zbierali się na naradę i nadawali mu za każdym razem wyższy stopień, a gdy powracał do domu, witali go najstarsi spośród wiarusów, wymieniając jego nową szarżę. W taki to sposób Napoleon został mianowany po bitwie pod Lodi kapralem, i stąd jego przydomek „mały kapral”, który mu już pozostał na wieczne czasy.

W czasie gdy Napoleon dokonywał w górnych Włoszech wiekopomnych czynów, powstawały na jego skinienie nowe państwa. Tworzy Republikę Cispaadańską i Transpadańską, Anglików wypędza z Korsyki, Genua, Wenecja i Rzym pokonane są tak, iż podnieść się nie mogą.

Tymczasem nadciąga nowa armia cesarska pod rozkazami Alvinczy'ego, wskutek czego Napoleon zmuszony jest przerwać tworzenie nowego porządku politycznego. Jakaś siła fatalna kładzie u stóp Napoleona i tego przeciwnika. Alvinczy popełnia ten sam błąd co jego poprzednicy. Dzieli mianowicie swoją armię na dwa korpusy: jeden, w sile 30 000 ludzi, ma pod jego dowództwem przejść przez okolice Werony i odzyskać Mantuę, drugi zaś, złożony z 25 000 ludzi, ma pod komendą Quosdanovicha rozwinąć się nad Adygą. Bonaparte podejmuje marsz przeciwko Alvinczy'emu, którego dosięga pod Arcole. Dnia 15 listopada przeciwstawia mu się w pobliżu tej wioski nad rzeczką Alpone kilka batalionów wojsk chorwackich, siedmiogrodzkich i wołoskich, usiłując utrzymać tamtejszy most do nadejścia posiłków. Dla Francuzów niezmierne znaczenie ma sforsowanie przejścia, zanim one nadejdą, jednak morderczy ogień przeciwnika udaremnia wszelkie ataki. W tej sytuacji Napoleon, chwytając sztandar bojowy w dłonie, sam staje ze sztabem na czele oddziałów i rzuca się

naprzód, na most. Ale i ten atak jest daremny. U boku generała pada jego adiutant, kilku innych oficerów zostaje rannych, a wreszcie kontratak Austriaków wprowadza zamieszanie w szeregi francuskie. Uciekające wojska porywają z sobą swego wodza, który grzęźnie w moczarach i z trudem tylko wyratowany zostaje z niebezpieczeństwa.

Dnia 16 i 17 listopada rozpoczyna się właściwa bitwa przeciwko całej armii Alvinczy'ego. Bonaparte nie puszcza go, zanim Austriacy nie pozostawią 500 trupów na pobojowisku i zanim nie zabierze im 8000 jeńców i 30 armat. Potem dopiero rozprawia się z armią Quosdanovicha. Wówczas z rezerw nadreńskich na pomoc wojskom austriackim wyrusza nowa armia pod wodzą księcia Karola.

Żaden cios nie ma być Austriakom oszczędzony. Klęski generałów austriackich muszą dosięgnąć tronu. Dnia 10 marca 1797 r. księżę Karol zostaje pobity podczas przejścia przez Tagliamento, które to zwycięstwo otwiera przed nami państewko Wenecji i wąwozy tyrolskie. Francuzi idą naprzód, w marszu szturmowym na otwarte już drogi, odnoszą zwycięstwo pod Lavis, Trasmis i Clausen, wkraczają do Triestu, zajmują Tarviso, Gradiskę i Villach, by wreszcie utorować sobie drogę prowadzącą do zdobycia stolicy. Zbliżają się do Wiednia na odległość 30 godzin marszu.

W tym miejscu Bonaparte zatrzymuje się, by oczekiwać delegatów do rokowań. Zaledwie rok minął, odkąd opuścił Niceę, a w tym czasie zniszczył sześć armii, zajął Alessandrię, Turyn, Mediolan i Mantuę, umocował trójkolorowy sztandar na szczytach Alp. Wokoło niego i u jego boku zaczynają już rozsiewać blaski także i inne nazwiska: Masséna, Augereau, Joubert, Marmont, Berthier. Tworzy się konstelacja gwiazd, planety krążą dookoła swego słońca, niebo cesarstwa okrywa się gwiazdami!

Napoleon nie łudził się; rychło nadchodzą delegaci celem wszczęcia rokowań. Jako miejsce układów wybrano Leoben. Pełnomocnictwa Dyrektoriatu nie były już potrzebne Napoleonowi. On prowadził wojnę, on też zawrze pokój. „W tym stanie rzeczy nawet rokowania z cesarzem są operacją wojskową”. Ale operacja ta zaczyna się zbyt długo przedłużać, otaczają ją jakby pierścieniem i udaremniają wszelkie możliwe sztuczki i fortele dyplomatyczne. Nadchodzi wreszcie dzień, gdy lew nie może dłużej wysiedzieć spokojnie w sieci. Nagle, wśród zawitych rokowań, wpada do sali obrad, chwytą wspaniałe serwis porcelanowy, rozbija go w drobne kawałki i rozdeptuje stopami. Następnie woła do delegatów:

„Tak też was wszystkich pogruchotam, bo na nic innego nie zasługujecie”. Dyplomaci stają się uleglejsi. Nareszcie odczytują układ pokojowy. W artykule pierwszym cesarz austriacki oświadcza, iż uznaje republikę francuską. „Skreślcie ten artykuł – woła Bonaparte – republika francuska jest jakby słońcem na firmamencie, tylko ślepcy nie dostrzegają jej blasku”.

Tak to Bonaparte w 27 roku życia dzierży w jednej ręce miecz, którym rozbija państwa na części, w drugiej zaś wagę, na której wąż się losy królów. Choć Dyktoriat dalej wyznacza mu drogę, którą ma postępować, on idzie własną. Jakkolwiek sam jeszcze nie rozkazuje, to jednak przynajmniej już nie musi słuchać rozkazów. Pisze mu Dyktoriat, iżby pamiętał, że Wurmser jest emigrantem, gdy jednak wpada on w ręce Napoleona, ten okazuje mu wszystkie względy należące się z tytułu jego nieszczęścia i podeszłego wieku. Dyktoriat używa obelżywych słów, gdy mowa o papieżu, Bonaparte zwraca się doń zawsze z uszanowaniem, nigdy go inaczej nie nazywając jak Ojcem Świętym. Dyktoriat deportuje i znieważa kapłanów, Bonaparte rozkazuje swej armii, iż należy ich poważać jak braci i czcić jako sługi boże. Dyktoriat wreszcie usiłuje wypłenić doszczętnie arystokrację, Bonaparte zaś, będąc w Genui, pisze do demokratów list z naganą z powodu prześladowań szlachty nadmieniając, że muszą uszanować posąg Dorii, jeśli nie chcą utracić jego poważania.

Dnia 15 vendémiaire'a roku VI (17 października 1797 r.) zawarty zostaje pokój w Campoformio. Dnia 15 frimair'a tego samego roku (5 grudnia 1797 r.) Napoleon wraca do

Paryża.

Bonaparte widział kres swojej kariery wojskowej wraz z nadejściem pokoju. Ponieważ nie mógł trwać w bezczynności, zmierzał do objęcia stanowiska po jednym z dwu ustępujących dyrektorów. Na nieszczęście liczył dopiero 28 lat, nominacja jego byłaby więc zbyt rażącym i w zbyt krótkim czasie dokonanym pogwałceniem konstytucji z roku III, by odważono się wystąpić z takim projektem. Tak więc Napoleon wrócił do swego domku przy ulicy Chantierine, gdzie zmagął się z pomysłami swego geniuszu, nade wszystko zaś z najstraszliwszym wrogiem, z jakim kiedykolwiek miał walczyć – z zapomnieniem.

„W Paryżu – myślał sobie – nic nie zachowuje się w pamięci. Jeśli długo jeszcze pozostanę bezczynny, jestem stracony. W tym wielkim Babilonie jedna sława pochłania drugą, wystarczy, że trzy razy uznają mnie godnym obserwowania w teatrze, by potem się już za mną nie oglądać”.

Dlatego, czekając na lepsze czasy, dał się na razie wybrać członkiem Instytutu.

Wreszcie 29 stycznia 1798 r. Napoleon zwraca się do swego zaufanego sekretarza: „Bourrienne, nie mogę tutaj dłużej pozostać, nic tu nie mam do roboty. Czuję doskonale, że jeśli zostanę, będzie wkrótce po mnie. Tutaj wszystko się zużywa, nie posiadam już sławy. Ta mała Europa nie daje żadnych możliwości, nasz kontynent jest małym kretowiskiem. Tylko na Wschodzie bywały wielkie mocarstwa i wielkie rewolucje. Na Wschód, gdzie żyje 600 milionów ludzi, tam prowadzi moja droga. Wszyscy wielcy i sławą okryci mężowie stamtąd pochodzili”.

Ambicja jednak nakazuje mu prześcignąć wielkich i sławnych ludzi. W swym dotychczasowym życiu działał już więcej od Hannibala, teraz pragnie, by czyny jego dorównywały czynom Aleksandra i Cezara razem wziętym. Na piramidach, gdzie wyryte są ich imiona, nie może zabraknąć jego imienia.

Dnia 12 kwietnia 1798 r. Napoleon zostaje mianowany głównodowodzącym armii na Wschodzie. W połowie maja wsiada na okręt.

Malta pierwsza nawinęła się po drodze. Bonaparte zdobywa ją bez trudu, by już 1 lipca 1798 r. wylądować w Egipcie, w pobliżu twierdzy Marabu, niedaleko Aleksandrii.

Gdy wieść o tym doszła do Murad-beja, którego wróg starał się upolować niby lwa w jaskini, otoczył się on swymi Mamelukami, wysyłając w dół Nilu uzbrojoną flotyllę, której na brzegach towarzyszył korpus jeźdźców w sile 12-15 tysięcy ludzi. Z konnicą tą zetknął się Desaix, dowodzący naszą przednią strażą, 14 lipca w pobliżu wioski Minieh Salam. Od czasu wojen krzyżowych po raz pierwszy stanęły naprzeciwko siebie świat Wschodu i Zachodu.

Pierwszy atak wojsk Murada rozbił się o nasze czworoboki. Jak stada spłoszonych ptaków rzuciły się oddziały egipskie do ucieczki, otaczając bataliony nasze pierścieniem zniekształconych ciał ludzkich i końskich. Wyleciały hen, daleko, by, zwarte na nowo, nowy przypuścić atak, który jednak – tak jak poprzedni – był daremny.

Raz jeszcze skupiła się konnica Murada. Zamiast jednak znów rzucić się na nasze oddziały, skierowała się ku pustyni, aż znikła na horyzoncie w kurzawie piasków.

W Gizeh dowiaduje się Murad o klęsce z 14 lipca. Tego samego dnia wysłał gońców do Saidu, do Fayum, na pustynię. Bejowie, szejkowie, Mamelulcy – zewsząd zwołano wszystkich do walki ze wspólnym wrogiem. Każdy musiał przybyć na koniu, w pełnym uzbrojeniu – i już po trzech dniach Murad skupił dokoła siebie 6000 jeźdźców.

Cała ta gromada, która pospieszyła posłuszna wezwaniu wodza, rozłożyła się obozem w nieładzie nad brzegami Nilu, w obliczu Kairu i piramid, między wioską Embabeh, o którą wspierało się prawe skrzydło, a Gizeh, ulubioną siedzibą Murada, gdzie wysunęło się lewe skrzydło. Murad rozbił namiot pod olbrzymim drzewem morwowym, w którego cieniu mogło się schronić 50 jeźdźców, oczekiwał armii francuskiej, uporządkowawszy wpierw nieco swe szeregi. Dnia 21 lipca nad ranem Murad usłyszał głośnie krzyki, to armia francuska witała piramidy!

O godzinie szóstej rano Francuzi i Mamelucy stanęli naprzeciw siebie, oko w oko.

Trzeba uprzytomnić sobie owo pole bitwy! Było to samo pole, które obrał Kambyzes, również zdobywca, by rozgromić Egipcjan. Od tego czasu upłynęło dwa tysiące czterysta lat. Nil i piramidy przetrwały i tylko granitowy sfinks, któremu Persowie zniekształcili oblicze, sterczał z piasku już tylko swą olbrzymią głową. Kolos, o którym wspomina Herodot, pograżył się w ziemi. Przeszło istnieć miast Memfis, powstał zaś Kair. Wszystkie te wspomnienia unosiły się żywo przed oczami dowódców francuskich, a niewyraźnie przed oczami żołnierzy, na kształt owych nieznanych ptaków, które ongiś ulatywały nad polami bitew, niosąc przepowiednię zwycięstwa.

Tej samej nocy po zwycięskiej bitwie, Napoleon zasnął w Gizeh, by na trzeci dzień wkroczyć do Kairu.

Zaledwie znalazł się w Kairze, zaczął marzyć nie tylko o skolonizowaniu dopiero co zdobytego kraju, ale także o podboju Indii. Wysłał tedy do Dyrektoriatu pismo, w którym domaga się przysłania posiłków, broni, materiałów wojennych, chirurgów, aptekarzy, medyków, odlewaczy metali, destylatorów, ogrodników, aktorów, kramarzy, którzy by ludności sprzedawali marionetki, a wreszcie pięćdziesięciu Francuzek. Do Tipu Sahiba śle gońca, proponując mu przymierze przeciwko Anglikom. Następnie pełen radosnych nadziei przystępuje do ścigania Ibrahima, najpotężniejszego po Muradzie beja, którego rozgramia pod Salihijch. W czasie gdy odbiera gratulacje z powodu zwycięstwa, posłaniec przynosi wiadomość o całkowitej utracie floty. U wybrzeży Abukiru Nelson wysadził w powietrze flotę francuską z Bueysem na czele, wszystkie fregaty poszły na dno. Napoleon utracił wszelki kontakt z Francją, rozwiały się wszelkie nadzieje zdobycia Indii.

Musi tedy pozostać w Egipcie lub opuścić go w glorii – jak starożytni bohaterowie.

Bonaparte wraca do Kairu, gdzie obchodzi uroczyste święto narodzin Mahometa i założenia republiki. Wśród tych uroczystości w mieście wybucha powstanie i podczas gdy z wyżyn Mokktamu Bonaparte miota pioruny na miasto, niebiosa przychodzą mu z pomocą, zsyłając burzę. Po czterech dniach zapanował spokój. Napoleon wyjeżdża do Suez, skąd pragnie zobaczyć Morze Czerwone. Chce osiągnąć stopą lądu azjatyckiego, nie będąc starszym od Aleksandra. Niewiele brakowało, a byłby utonął; uratował go żołnierz z gwardii przybocznej. Teraz zwracają się jego oczy ku Syrii. Nieprzyjaciel spóźnił się z wylądowaniem w Egipcie, uczyni to dopiero w lipcu przyszłego roku; wojska nieprzyjacielskie mogą jednak nadciągnąć od strony Gazy i El-Arisz, które to miasto zdobył Ali pasza, zwany Dżezzar, „Rzezak”. Tę przednią straż otomańską należy zniszczyć, trzeba obalić szaniec Jafy, Gazy i Akry, kraj spustoszyć, zniszczyć wszystkie jego źródła pomocy, by uniemożliwić przejście armii nieprzyjacielskiej przez pustynię. Na tyle tylko plan jest znany, może jednak kryje się za nim jedno z owych gigantycznych przedsięwzięć, które Bonaparte stale rozważał? Zobaczmy, co będzie dalej!

Napoleon wyrusza na czele 10 000 ludzi, dzieląc piechotę na cztery korpusy, których dowództwo obejmują Bon, Kléber, Lannes i Reymer. Murat staje na czele konnicy, Dammartin na czele artylerii, Caffarelli-Dufalga obejmuje komendę nad pionierami. Po pierwszym ataku pada El-Arisz, w kilka dni później poddaje się bez stawiania oporu Gaza, wreszcie wojska nasze szturmem zdobywają Jafę, której załogę w sile 5000 ludzi wycinają w pień. Dalsza droga triumfu prowadzi do Saint Jean d'Acre (Akko), gdzie oddziały francuskie okopują się. Tutaj jednak zaczyna się nieszczęście.

Dowódcą twierdzy jest Francuz, dawny towarzysz szkolny Napoleona. Razem złożyli egzaminy w szkole wojskowej, skąd tego samego dnia rozeszli się do korpusów. Jako rojalista przeszedł Phelippeaux do obozu Anglików, oddał się pod rozkazy Sydneya Smitha, za którym poszedł zrazu do Anglii, by potem towarzyszyć mu do Syrii. O jego to geniusz militarny raczej aniżeli o obwarowania Akry rozbijają się zaciekle ataki Napoleona. Prawidłowe oblężenie miasta jest niemożliwe, trzeba je zdobyć szturmem. Jakoż trzykrotnie próbuje

Napoleon przypuścić szturm do twierdzy – za każdym razem nadaremnie!

Podczas jednego ataku u stóp Napoleona pada bomba. W mgnieniu oka rzucają się na wodza dwaj grenadierzy, otaczają go z przodu i z tyłu, rękami nakrywają mu głowę i osłaniają zewsząd. Bomba pęka, lecz odłamki jej, jakby cudem wiedzione, umieją uszanować takie poświęcenie: nikt nie został ranny. Jeden z tych grenadierów, Daumesuil, zostaje w 1809 r. generałem, w 1812 r. traci nogę w Moskwie, w dwa lata później zaś jest komendantem w Vincennes.

Tymczasem zewsząd nadchodzą posiłki dla Dżezzara. Baszowie syryjscy, zgromadziwszy swe wojska, maszerują na Akrę, Sydney Smith śpieszy z odsieczą na czele floty angielskiej, zaraza wreszcie, ten najgroźniejszy ze sprzymierzeńców, przychodzi z pomocą syryjskiemu katu. Wojska nasze muszą najpierw obronić się przed armią idącą z Damaszku. Zamiast czekać na nią lub cofnąć się, gdy nadejdzie, Napoleon wyrusza jej naprzeciw, spotykają i rozrzuca po całej równinie u stóp góry Tabor. Dokonawszy tego wraca, by jeszcze w pięciu atakach na Akrę popробować szczęścia, również z daremnym skutkiem. St. Jean d'Acre jest dla Napoleona miastem przekleństwa, z którym nie może się uporać.

Wszyscy dziwią się, że Napoleon zużywa tyle wysiłku, by zdobyć to gniazdo skalne, że dzień w dzień naraża swoje życie, że najlepszych oficerów i najwybitniejszych żołnierzy rzuca na szaniec. Zewsząd podnoszą się szemrania z powodu tego krwiożerczego uporu, który wydaje się bezcelowy. Jest w tym jednak cel; wyjaśnia go sam Napoleon po jednym z bezowocnych ataków, w którym Duroc zostaje ranny. Wódz odczuwa bowiem potrzebę wytłumaczenia kilku ludziom bliskim mu sercem, iż nie uprawia szaleńczej gry. „Prawda – powiada – widzę, że to nędzne gniazdo zabrało mi już wielu ludzi i wiele czasu, sprawy jednak zbyt już dojrzały, bym nie miał odważyć się na nowy wysiłek. Jeśli mi się uda, znajdę w mieście skarbcę paszów i broń dla trzykroć stu tysięcy ludzi. A potem wywołam powstanie w Syrii i uzbroję jej ludność, oburzoną na tyranię Dżezzara, o którego klęskę prosi błagalnie Boga przy każdym ataku. Pomaszeruję na Damaszek i Aleppo, w miarę posuwania się naprzód powiększę swoją armię o wszelakiego rodzaju malkontentów. Obwieszczę ludowi zniesienie niewolnictwa i tyrańskiej władzy paszów. Na czele uzbrojonych rzesz podążę aż pod Konstantynopol, obalę cesarstwo tureckie, założę na Wschodzie nowe, wielkie imperium, które imię moje uwieczni wśród potomnych, a potem przez Adrianopol i Wiedeń powrócę do Paryża, obalwszy w pierw dynastię austriacką”. Po czym mówi dalej z westchnieniem: „Jeśli mi się zaś nie uda ten ostatni szturm – czas mi w drogę. Jeśli przed połową czerwca nie będę w Kairze, to wówczas dla nieprzyjaciela powieją pomyslnie wiatry, które pozwolą mi skierować żagle ku północnym wybrzeżom Egiptu. Konstantynopol wyśle wojska do Aleksandrii i Rozetty – ja muszę tam się znaleźć. Armii lądowej, która tam później dojdzie, nie obawiam się w tym roku. Aż do rubieży pustynnych każę zniszczyć wszystko ogniem i mieczem. Od dziś za dwa lata uniemożliwię przejście jakiegokolwiek armii, gdyż wśród ruin i zgliszczy nie można wyżyć”.

W rzeczy samej, zmuszony jest Napoleon zdecydować się na odwrót. Armia cofa się na Jafę, gdzie Bonaparte odwiedza szpital dla zadżumionych. Zabiera każdego, kto tylko może być przetransportowany morską drogą przez Damiette lub lądową przez Gazę i El-Arisz. Na miejscu zostaje około sześćdziesięciu ludzi, którzy mogą przeżyć najwyżej jeszcze jeden dzień, lecz za godzinę wpadną w ręce Turków. Ta sama żelazna konieczność, która nakazywała wyciąć w pień całą załogę Jafy, i tutaj znajduje zastosowanie. Aptekarz R... każe, jak fama głosi, podać umierającym pewien napój. Zamiast męczarni, jakie czekają ich z rąk tureckich, będą mieli przynajmniej łagodną śmierć.

Wreszcie w połowie czerwca, po długim i uciążliwym marszu, armia wraca do Kairu. Była to najwyższa pora, gdyż Murad-bej, który wymknął się generałowi Desaixowi, zagrażał Egiptowi Dolnemu. Po raz drugi napada u stóp piramid na Francuzów. Napoleon wydaje wszystkie zarządzenia do bitwy. Nazajutrz jednak ku zdziwieniu Bonapartego Murad-bej

ulotnił się. Jeszcze tego samego dnia sytuacja się wyjaśnia. Ściśle w tym samym czasie, jak przewidział Napoleon, flota wylądowała pod Abukirem, Murad zaś wycofał się, by okrezną drogą połączyć się z obozem tureckim.

W obozie znajduje paszę pełnego najlepszych nadziei. Gdy Murad zjawiał się w obozie, wojska francuskie, zbyt słabe, by móc nań uderzyć, skróciły front. „Widzisz – powiada Mustafa-bej do beja Mameluków – ci groźni Francuzi, w których pobliżu ty nie mogłeś się ostać, uciekają przede mną, gdzie tylko się ukażą”. „Paszo – odrzekł Murad-bej – złóż dzięki prorokowi, że spodobało się Francuzom cofnąć się, gdyby bowiem wrócili, ulotniłbyś się przed nimi jak piasek w czasie burzy”.

Przepowiedział prawdę syn pustyni. W kilka dni potem nadciągnął Bonaparte, a po trzygodzinnej walce Turcy ustępują i rzucają się do ucieczki. Mustafa-bej wręcza Muratowi skrwawioną dłonią swoją szablę. Wraz z nim poddaje się 200 ludzi, 2000 trupów zaściela pobojowisko, 10 000 zatoneło, 20 armat, wszystkie namioty i cały tabor wpada w nasze ręce. Wojska francuskie zajmują twierdzę Abukir, Mameluków odrzucono ku pustyni, Anglicy zaś i Turcy schronili się na okręty.

Bonaparte wysłał gońca na okręt admirałski w sprawie rozpoczęcia układów o wydaniu jeńców, których nie podobna pilnować, a których nie chce kazać rozstrzelać, jak to było w Jafie. W zamian admirał posyła Napoleonowi wino, owoce i „Gazetę Frankfurcką” z 10 czerwca 1799 r.

Napoleon pozbawiony wieści z Francji od czerwca 1798, czyli od przeszło roku, szybko przebiega oczyma po gazecie, wykrzykując nagle: „Moje przeczucia nie zawiodły mnie, Włochy są stracone. Muszę wyjechać”. W rzeczy samej Francuzi znaleźli się w sytuacji, której życzył sobie Napoleon. Spotkało ich tyle nieszczęść, że nie będą go już witali jako przepojonego ambicją generała, lecz jako zbawcę. Natychmiast każe przywołać Gantheaume'a, któremu rozkazuje zaopatrzyć w żywność dla 400-500 ludzi na dwa miesiące dwie fregaty „Muirion” i „Carrère”, a nadto dwa mniejsze okręty. Dnia 22 sierpnia Napoleon pisze do armii: „Wiadomości, które nadeszły z Europy skłaniają mnie do wyjazdu do Francji. Naczelną komendę poruczam generałowi Kléberowi. Wkrótce prześlę wiadomość o sobie. Nic ponadto nie mogę w tej chwili powiedzieć. Ciężko mi opuszczać moich żołnierzy, do których przywiązany jestem całym sercem. Rozłąka jednak nie potrwa długo. Do generała, którego Wam zostawiam, żywimy, armia i ja, całkowite zaufanie”.

Nazajutrz wsiada na okręt „Muirion”. Gantheaume chce wypłynąć na pełne morze, Napoleon jednak nie pozwala. „Pragnę – rzekł – by pan, o ile to możliwe, trzymał się wybrzeży afrykańskich i tą drogą płynął aż na południe od Sardynii. Mam koło siebie garstkę dzielnych żołnierzy, lecz mało artylerii. Gdy ukażą się Anglicy, dopłyniemy do wybrzeża. Stąd drogą lądową osiągnę Oran, Tunis lub inny port, gdzie znajdę środki, by wsiąść na okręt płynący do Francji”.

Przez dwadzieścia jeden dni miotają Bonapartem wiatry wschodnie i północno-wschodnie z powrotem do portu, z którego wypłynął. Wreszcie powiały pierwsze wiatry południowe, na które Gantheaume nastawia wszystkie żagle. Wkrótce okręt mija miejsce, gdzie niegdyś stała Kartagina, stąd zmienia kierunek ku Sardynii, zmierzając ku jej zachodnim wybrzeżom. Dnia 1 października okręt zawija do portu w Ajaccio, gdzie wymienia się cekiny tureckie na 17 000 franków – to wszystko, co Napoleon przywozi z Egiptu. Wreszcie 7 dnia tegoż miesiąca Napoleon opuszcza Korsykę, sterując ku wybrzeżom Francji, od których oddalony jest zaledwie o 70 mil. Wieczorem 8 października meldują Napoleonowi o ukazaniu się eskadry złożonej z 14 okrętów. Gantheaume proponuje powrót na Korsykę. „Nigdy! – woła głosem władcy Napoleon – żeglujcie z całych sił, wszyscy na stanowiska! Na północny zachód, na północny zachód!”

Całą noc spędzono w niepokoju. Bonaparte, który nie opuszczał pokładu, rozkazał przysposobić szalupę, przeznaczając 12 majtków jako załogę. Sekretarzowi poleca wybrać

najważniejsze papiery, po czym wyznacza dwudziestu ludzi, by w razie niebezpieczeństwa rozbić okręt o wybrzeże Korsyki, O świcie jednak wszystkie te zarządzenia okazują się zbyteczne i wszelka trwoga mija. Flota płynie dalej w kierunku północno-zachodnim. W pierwszym brzasku 9 października ukazuje się Fréjus, a o godzinie 8 wieczorem już można lądować.

Natychmiast rozeszła się wieść, że na jednej z fregat przybył Napoleon. Na morzu ukazuje się mnóstwo łodzi, ludność zapomniała o wszystkich środkach ostrożności. Daremnie zwraca się uwagę na niebezpieczeństwo grożące wskutek możliwości zawleczenia choroby. „Wolimy raczej zarazę – woła lud – niżli Austriaków!” Tłumy porywają Napoleona, prowadzą go, unoszą na ramionach. Nastął dzień święta, dzień hołdu i triumfu. Wreszcie wśród niebywałego entuzjazmu, wśród okrzyków radości i wrzawy wkracza Cezar na ląd, na którym nie ma już Brutusa.

W sześć tygodni potem Francją nie rządzą już dyrektorzy, lecz trzej konsulowie, spośród których jeden, jak powiada Sieyes, wszystko wie, wszystko robi, wszystko jest w jego mocy.

W ten sposób dochodzimy do 18 brumairae'a (9 listopada) 1799 r.

BONAPARTE PIERWSZYM KONSULEM

Gdy tylko Bonaparte objął najzaszczytniejsze stanowisko w państwie, krwawiącym jeszcze wskutek wewnętrznych i zewnętrznych wojen i doszczętnie wyczerpanym własnymi zwycięstwami, pierwszą jego troską była próba zawarcia pokoju na trwałych podstawach. Pisze przeto z ominięciem wszelkich form dyplomatycznych, którymi władcy ukrywają swoje myśli, wprost i własnoręcznie do króla Jerzego III, proponując mu zawarcie przymierza między Francją i Anglią. Król nie odpowiada; Pitt wziął na siebie odpowiedzialność, innymi słowy przymierze zostało odrzucone.

Doznawszy odmowy od Jerzego III, Bonaparte zwraca się z kolei do cara Pawła I. Chcąc dać przykład rycerskiego postępowania, każe zgromadzić we Francji wojska rosyjskie wzięte do niewoli w Holandii i Szwajcarii, poleca umundurować je na nowo, po czym odsyła do ojczyzny bez wykupu i wymiany. Bonaparte nie mylił się, iż takim postępkim rozbroi Pawła I. Gdy ten dowiaduje się o zarządzeniu pierwszego konsula, natychmiast każe wycofać swe wojska, stojące jeszcze w Niemczech i występuje z koalicji.

Z Prusami Francja była w dobrych stosunkach. Pozostawały więc jeszcze Anglia, Austria i Bawaria. Mocarstwa te jednak najmniej były przygotowane do podjęcia kroków wojennych. Bonaparte miał przeto czas, nie tracąc nieprzyjaciela z oczu, na spojrzenie na wewnętrzną politykę Francji.

Nowy rząd obrał sobie siedzibę w Tuileries. Bonaparte zamieszkał w pałacu królewskim, w którym stopniowo ożyły dawne zwyczaje dworskie, wyrugowane przez członków Konwentu. Trzeba zresztą przyznać, że pierwszym przywilejem korony, który Napoleon sobie przywłaszczył, było prawo łaski. Pan Depeu, emigrant francuski, schwytany został w Tyrolu, stąd przewieziono go do Grenoble i skazano na śmierć. Gdy wieść o tym doszła do Napoleona, polecił sekretarzowi napisać na świstku papieru: „Pierwszy konsul rozkazuje znieść wyrok skazujący pana Depeu”, podpisawszy zaś ten lakoniczny dokument, wręczył go generałowi Ferino – i pan Depeu był ocalony.

Następnie daje się u Napoleona zauważyć pasję stawiania nowych budynków i pomników, najsilniejsza bodaj obok zamiłowania do wojen. Zrazu zadawała się rozkazem usunięcia zabudowań zaciemniających dziedziniec w Tuileries. Gdy niedługo potem, wyglądając oknem, konstatuje pełen oburzenia, że Quai d'Orsay odcięta jest od przedmieścia Saint-Germain Sekwaną, która każdej zimy występuje z brzegów uniemożliwiając wszelkie połączenie, notuje tych kilka słów: „Wybrzeże szkoły pływania będzie w przyszłym roku gotowe”, po czym słowa te przesyła ministrowi spraw wewnętrznych. Ten zaś pospiesznie wypełnia rozkaz. Dzień w dzień przeprawia się na łodziach przez Sekwanę między Luvrem a Quatre-Nations. Wiele osób świadczy, iż w tym miejscu potrzebny most. Pierwszy konsul poleca zawezwać panów Perriera i Fontaine'a i jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wyrasta Pont des Arts, most łączący oba brzegi. Plac Vendôme jest jakby osierocony po usunięciu zeń statuy Ludwika XIV. Dawny posąg zastąpi kolumna, odlana z armat zdobytych w wojnie z Austriakami. Spalona hala zbożowa zostaje odbudowana w żelazie. Z jednego

końca stolicy do drugiego prowadzone są kilometrowe bulwary, których zadaniem jest utrzymać prąd rzeki w jej korycie. Giełda ma otrzymać własny pałac, kościołowi Inwalidów, który ma służyć dawnemu przeznaczeniu, przywrócony zostaje jego dawny blask i splendor z czasów Ludwika XIV. W czterech centralnych punktach miasta mają być założone cztery cmentarze, przypominające miasto umarłych w Kairze. Wreszcie, jeśli Bóg da mu czas i pieniądze, ma być zbudowana ulica, która by prowadziła z Saint-Germain l'Auxerrois do Barrière du Trone. Szerokość jej wynosiłaby sto stóp, po obu stronach zasadzono by drzewa jak na bulwarach, poza tym nowa ulica ujęta byłaby w arkady na wzór ulicy Rivoli. Ale z tym jeszcze będzie musiał Napoleon poczekać, nowa ulica ma bowiem nosić nazwę „Cesarskiej”.

Tymczasem jednak pierwszy rok dziewiętnastego stulecia gotuje pamiętne wojny. Ustawa o poborze rekruta przyjęta została z entuzjazmem, zorganizowano nową potęgę militarną.

Na te zbrojenia nieprzyjaciele odpowiadają podobnymi przygotowaniem. Austria w pośpiechu zaciąga nowych żołnierzy, Anglia najmuje korpus złożony z 12 000 Bawarczyków, jeden zaś z najrzęczniejszych agentów angielskich werbuje żołnierzy w Szwabii, Frankonii i w Odenwaldzie. Wszystkie te wojska mają być użyte nad Renem, gdy tymczasem Austria ma wysłać swych najlepszych żołnierzy do Włoch, tutaj bowiem zamierzają sprzymierzeni rozpocząć kampanię.

Dnia 17 marca 1800 r. Napoleon zwraca się nagle wśród prac nad urządzeniem założonych przez Talleyranda szkół dyplomatycznych do sekretarza z zapytaniem, zdradzając przy tym żywą radość:

- Gdzie, sądzi pan, pobiję Melasa?
- Skądże mam to wiedzieć – odpowiada zdumiony pytaniem sekretarz.
- Proszę wyłożyć w moim gabinecie wielką mapę Włoch, a pokażę panu.

Sekretarz pospiesznie spełnia zlecenie. Bonaparte bierze do ręki szpilki o główkach z czerwonego i czarnego wosku i pochylając się nad olbrzymią mapą rozwija swój plan wojenny. We wszystkich punktach, w których oczekuje go nieprzyjaciół, wbija szpilki z czarnymi główkami, tam zaś, gdzie zamierza ulokować swoje wojska, szpilki z główkami czerwonymi. Po czym zwraca się do sekretarza, który przyglądał się w milczeniu.

- A zatem?
- Dalej nie wiem – odpowiada sekretarz.

– Głupiec z pana! Proszę uważać! Melas znajduje się w Alessandrii, gdzie ma kwaterę główną; tam pozostanie, dopóki nie podda się Genua. W Alessandrii ma swe magazyny, szpitale, artylerię i rezerwy.

Wskazując zaś na Górę Świętego Bernarda, ciągnie dalej Napoleon:

– Tędy przeprawię się przez Alpy, wpadnę mu na tyły, zanim się zdąży dowiedzieć, że jestem we Włoszech, przetnę mu wszelki kontakt z Austrią, wtłoczę go do równin Scrivii – w tym miejscu wbił czerwoną szpilkę na San Guliano – i pobiję go tutaj.

Tak właśnie Napoleon opracował plan bitwy pod Marengo. W cztery miesiące później plan ten został wykonany w najdrobniejszych szczegółach. Bonaparte przekroczył Alpy, ustanowił kwaterę główną w San Guliano, Melas został odcięty, brakło jeszcze tylko bitwy. Bonaparte zapisał swe nazwisko obok Hannibala i Karola Wielkiego.

Pierwszy konsul przepowiedział prawdę. Jak lawina stoczył się na czele wojsk ze szczytów alpejskich, by już 2 czerwca znaleźć się w Mediolanie, do którego to miasta wkracza nie napotkawszy oporu. Tego samego dnia wysłał Murata do Piacenzy, Lannesa zaś do Montebello. Obaj wyruszają w drogę i ani im przez myśl nie przeszło, że mają wywalczyć – jeden koronę królewską, drugi – tytuł wielkksiążęcy.

Nocą 8 czerwca zjawia się kurier przysłany przez Murata z Piacenzy i wręcza przejęty list, zawierający depezę Melasa do rady koronnej w Wiedniu. Depesza donosi o kapitulacji Genui i o tym, że Massena nie mógł się dłużej utrzymać na pozycji z powodu wyczerpania wszystkich środków, nie wyłączając siodeł końskich.

Budzą Napoleona wśród nocy, pomni rozkazu: „Dajcie mi spać przy dobrych nowinach, zbudźcie mnie jednak przy złych!”

– Do licha, nie rozumie pan niemczyzny – powiada zrazu Napoleon do sekretarza. Gdy jednak później musi przyznać, że sekretarz powiedział prawdę, zrywa się szybko, spędzając resztę nocy na wydawaniu rozkazów i wysyłaniu kurierów. O godzinie 8 rano wszyscy są uzbrojeni i gotowi.

Tego samego dnia kwatera główna przenosi się do Stradelli, gdzie Napoleon zostaje do 12 czerwca, gdzie 11 przyłącza się Desaix. Wieczorem 13 czerwca pierwszy konsul staje w Torre di Garofoli. Mimo późnej nocy i mimo zmęczenia Napoleon nie chce udać się na spoczynek, aż nie zdobędzie pewności, że Austriacy nie mają mostu przez Bormidę. O godzinie pierwszej po północy wraca oficer wysłany dla zbadania sprawy, meldując, że mostu żadnego nie ma. Wiadomość ta uspokaja pierwszego konsula. Wysłuchawszy jeszcze raportu o rozłożeniu wojsk, układa się do snu, nie przypuszczając, że nazajutrz może dojść do bitwy.

O godzinie 5 nad ranem budzi Napoleona odgłos kanonady. W tej samej chwili, zaledwie zdążył się ubrać, nadbiega galopem adiutant generała Lannesa z meldunkiem, że nieprzyjaciel, przeprawiwszy się przez Bormidę, rozwinął swe szeregi na równinie, na której już rozgorzała bitwa.

Oficer sztabu, którego wysłano na wywiad, nie musiał daleko zajść, by przekonać się, że przez rzekę prowadził most.

Bonaparte natychmiast dosiada konia, spiesząc na pole bitwy.

Zastaje tutaj nieprzyjaciela ustawionego w trzy szyki. Lewe skrzydło, obejmujące całą konnicę i lekką piechotę, maszerowało na Castelceriolo, podczas gdy środek i prawe skrzydło, wspierające się wzajemnie, złożone z korpusów piechoty pod wodzą generałów Haddicka, Kaima, O'Reilly oraz z rezerwy grenadierów pod rozkazami generała Otto, posuwały się ku rzece Bormidzie drogą na Tortonę i Fragarolo.

Już przy pierwszych posunięciach dwie te armie zetknęły się z wojskami generała Gardanne'a, które zajęły pozycję pod Pedra-Bona. Huk rozlicznych dział, ciągnących przed armią i osłaniających rozwinięte bataliony, trzykroć przewyższające siły napadniętych, obudziły Napoleona i zwabiły lwa na pole bitwy.

Zjawił się w chwili, gdy rozbita dywizja Gardanne'a znów zaczynała się skupiać, otrzymawszy posiłki od generała Victora. Pod osłoną tych posiłków wojska Gardanne'a przeprowadziły odwrót w całkowitym porządku, wycofując się do wioski Marengo.

Po chwili na nowo rozgorzała bitwa na całym froncie. O godzinie 3 po południu spośród 19 000 ludzi, którzy o godzinie 5 nad ranem rozpoczęli bitwę, zostało zaledwie 8000 piechoty, 1000 koni i 6 armat zdolnych do dalszej walki. Czwarta część armii była niezdolna do walki, więcej zaś aniżeli dalsza część czwarta zajęta była, wskutek braku wozów, transportem rannych, których rozkaz Napoleona nie pozwalał zostawić na placu. Wszystkie oddziały cofnęły się z wyjątkiem generała Carra Saint-Cyra, który, obsadziwszy wioskę Castelceriolo, oddalił się już na milę od głównej armii. Jeszcze pół godziny, a wydawało się wszystkim rzeczą nieuniknioną, że odwrót zamieni się w nieregularną ucieczkę. Nagle wpada w pełnym galopie adiutant wysłany na przedzie dywizji generała Desaixa, od której zależy w tej chwili nie tylko szczęście dnia, lecz także los Francji, z wiadomością, że pierwsze kolumny dywizji ukazują się na wysokości San Guliano. Bonaparte odwraca się i na widok kurzawy, zwiastującej ich przybycie, rzuca ostatnie spojrzenie na całą linię frontu, po czym z ust jego pada rozkaz:

– Stój! Słowo to niby iskra elektryczna przebiega cały front bitwy. Wszystko zatrzymuje się. W tej chwili zjawia się Desaix, ubiegając swą dywizję o pół godziny. Bonaparte wskazuje mu zaścieloną trupami równinę i zapytuje, co sądzi o bitwie. Desaix, ogarniając jednym spojrzeniem sytuację, oświadcza:

– Sądzę, że bitwa przegrana. – Po czym wyjmując zegarek dodaje – ale dopiero jest trzecia

godzina; mamy jeszcze dość czasu, by wygrać drugą bitwę.

– Taki właśnie mam zamiar – odpowiada lakonicznie Napoleon – i w tym celu wydałem już odpowiednie zarządzenia.

Teraz rzeczywiście zaczyna się druga część dnia, a raczej druga bitwa pod Marengo, jak ją nazwał Desaix.

Bonaparte objężdża na koniu pozycje rozciągające się teraz od San Guliano do Castelceriolo.

– Towarzysze broni – woła do żołnierzy wśród gradu kul padających u stóp jego konia – cofnęliśmy się za daleko. Teraz nadeszła chwila, by pójść naprzód. Nie zapominajcie, że przywykłem sypiać na pobojowisku!

Zewsząd podnoszą się okrzyki: „Niech żyje Bonaparte! Niech żyje pierwszy konsul!” – ginące po chwili wśród odgłosu bębnow bijących do ataku.

Austriacy, którzy nie zobaczyli przybyłych nam na pomoc posiłków, są święcie przekonani, że bitwę wygrali. Maszerują tedy dalej w regularnym ordynku bojowym. Teraz Napoleon wydaje komendę: „Naprzód!”, której echo rozbrzmiewa przez godzinę wzdłuż całego frontu. Za jednym zamachem rozpoczynają wojska nasze ofensywę. Na całej linii grzmi ogień karabinów, huczą armaty. Słychać miarowy odgłos kroków idących do szturm w takt dźwięków „Marsylianki”. Odsłonięta przez Marmonta bateria zięje ogniem. Kirasjerzy pod wodzą Kellermanna rzucają się naprzód, przełamując obie linie nieprzyjacielskie. Pędzi na okopy Desaix, przeskakuje zasieki, zajmuje niewielkie wzniesienie i pada w chwili, gdy odwrócił się, by zobaczyć, czy podąża za nim jego dywizja. Pod wpływem śmierci dowódcy jego żołnierze zdławiają ogień. Komendę obejmuje generał Boudet, rzucając się na kolumnę grenadierów austriackich, która go przyjmuje najeżonymi bagnetami. W tej samej chwili wraca Kellermann, który – jak już wyżej powiedziano – przełamał obie linie i widząc, że dywizja Boudeta znajduje się w utarczce z tą niewzruszoną masą, nie dającą się zmusić do ustąpienia, wpada na jej skrzydło, wdzierając się w sam środek oddziałów, które ćwiartuje i rozbija w puch. W niespełną godzinę 5000 grenadierów zostało rzuconych w rozsypkę i doszczętnie rozbitych. Dowódca ich generał Zach zostaje wzięty do niewoli wraz ze sztabem.

Teraz nieprzyjaciel chce wysłać do ataku swą niezliczoną konnicę, jednak nieustanny ogień muszkietarów, siejące spustoszenie kartacze i złowrogie bagnety nie dopuszczają jej zbyt blisko. Murat manewruje na flankach nieprzyjacielskich swą lekką artylerią i haubicami, szerząc spustoszenie w szeregach kawalerii wroga. W tej chwili w szeregach austriackich wylatuje w powietrze wóz z amunicją, co jeszcze zwiększa nieład. Na to tylko czekał generał Champeaux ze swoją jazdą. Rzuca się naprzód, zręcznym manewrem maskując swe niezbyt liczne siły, i wpada w sam środek pozycji wroga. Dywizje Gardanne'a i Chambarliaca, którym poprzedni odwrót ciąży jeszcze na sercu, rzucają się z całą furią zemsty. Lannes staje na czele swoich dwóch korpusów, biegnie przed nimi z okrzykiem: „Montebello! Montebello!” Bonaparte jest wszędzie.

W tej chwili wszystko zaczyna się chwiać, szeregi zaczynają się cofać i rozluźniać. Nadaremnie generałowie austriaccy usiłują nadać odwrotowi jakiś porządek – przechodził on w beładną ucieczkę. W pół godziny dywizje francuskie przeciągają przez całą równinę, której przez cztery godziny broniły piędź za piędzią. Dopiero w Marengo zatrzymuje się nieprzyjaciel, jednak dywizja Boudeta, dywizje Gardanne'a i Chambarliaca ścigają go z ulicy na ulicę, od placu do placu, od domu do domu. Marengo wpada w nasze ręce, Austriacy zaś cofają się na Pedra-Bona, gdzie po jednej stronie atakują ich trzy dywizje, po drugiej zaś półbrygada Saint-Cyra. O pół do dziewiątej wieczorem Pedra-Bona jest w naszych rękach, dywizje zaś Gardanne'a i Chambarliaca odzyskały pozycje, które zajmowały rano. Nieprzyjaciel rzuca się ku mostom, by przedostać się na drugą stronę Bormidy, napotyka jednak na generała Carra Saint-Cyra, który go ubiegł w drodze. Szuka tedy przejścia w bród i przeprowia się przez rzekę w ogniu wszystkich naszych linii gasnącym dopiero o godzinie 10

wieczorem. Szczątki armii austriackiej osiągają z powrotem swój obóz w Alessandrii, armia francuska zaś biwakuje przed szańcami korpusu mostowego.

Straty Austriaków wynosiły tego dnia 4500 poległych, 8000 rannych, 7000 jeńców, 12 chorągwi i 30 dział.

Pewnie nigdy jeszcze nie ukazało się szczęście tego samego dnia z dwu tak przeciwnych stron. O godzinie 2 po południu Francuzi pogrążeni byli w klęsce wraz z jej zgubnymi skutkami, o godzinie 5 zaś zwycięstwo znów odwróciło się ku sztandarom z Arcole i Lodi. O dziesiątej Włochy zostały za jednym ciosem z powrotem zdobyte, a zarazem zamajaczył Napoleonowi tron Francji.

Nazajutrz rano zameldował się u przednich straży książę Lichtenstein, który przybył, by wręczyć pierwszemu konsulowi zlecenia generała Melasa. Ponieważ jednak nie odpowiadały one Bonapartemu, podyktował mu pierwszy konsul swoje własne warunki, celem wręczenia ich Melasowi. Wojska austriackie mogły wolne i z honorami wojskowymi opuścić Alessandrię, pod znanymi jednak warunkami, które całe Włochy podporządkowały Francji.

Książę Lichtenstein powrócił wieczorem do kwatery francuskiej. Melas, który jeszcze o trzeciej godzinie, będąc pewny zwycięstwa, pozostawił swym generałom dopełnienie miary naszej klęski i udał się na wypoczynek do Alessandrii, teraz był zdania, że warunki Napoleona są zbyt twarde. Gdy jednak jego poseł wspomniał o tym, przerwał mu Bonaparte słowami:

– Wyraziłem panu mą ostateczną wolę. Proszę ją podać do wiadomości pańskiemu generałowi i szybko wrócić z odpowiedzią, gdyż wola moja jest nieodwołalna. Musi pan wiedzieć, że znam wasze położenie tak dobrze, jak wy sami, gdyż nie od wczoraj prowadzę wojnę. Jesteście oblężeni w Alessandrii, macie wielu rannych i chorych, brak wam środków żywności i lekarstw, podczas gdy ja zająłem wam linię odwrotu. Straciliście w poległych i rannych rdzeń swojej armii. Mógłbym jeszcze więcej zażądać, sytuacja upoważnia mnie do tego. Ograniczam jednak swe żądania z szacunku dla siwych włosów pańskiego generała.

– Warunki te są twarde – odpowiedział książę – szczególnie zaś oddanie Genui, która po tak długim oblężeniu padła dopiero przed piętnastoma dniami.

– Jeśli to tylko pana niepokoi – rzekł pierwszy konsul, wskazując księciu na przejęte pismo – może się pan na podstawie tego listu przekonać, że cesarz nie dowiedział się jeszcze wcale o zdobyciu Genui, nie należy mu tylko o tym donosić.

Jeszcze tego samego wieczora wszystkie francuskie warunki zostały przyjęte, Bonaparte zaś pisał do kolegów:

„Obywatele konsulowie, nazajutrz po bitwie pod Marengo prosił generał Melas na naszych forpocztach o zezwolenie na przysłanie mi generała Schalla. Z biegiem dnia zawarty został układ, który tutaj dołączam. Układ został w nocy podpisany przez generała Berthiera i generała Melasa. Spodziewam się, że naród francuski będzie zadowolony ze swej armii.

Bonaparte”

Tak więc spełniły się prorocze słowa, które obwieścił pierwszy konsul cztery miesiące przedtem swemu sekretarzowi w Tuileries.

Napoleon wraca następnie do Mediolanu, które to miasto zastaje iluminowane i przejęte radością. Tam też czeka na niego Massena, którego nie widział od wyprawy egipskiej. W nagrodę za piękną obronę Genui otrzymał on naczelne dowództwo armii włoskiej.

Z kolei udaje się pierwszy konsul, odprowadzany okrzykami triumfu narodów, z powrotem do Paryża. Przybył do stolicy nocą. Gdy jednak Paryżanie dowiedzieli się nazajutrz o jego powrocie, pospieszili tłumnie wśród okrzyków radości i zachwytu pod Tuileries, młody zaś zwycięzca spod Marengo musiał ukazać się na balkonie.

W kilka dni później ogólna radość została zakłócona wstrząsającą nowiną. Oto generał Kléber padł w Kairze ugodzony sztyletem Solimana el-Alebisa tego samego dnia, kiedy Desaix padł na równinach pod Marengo od kul austriackich.

Na podstawie układu, podpisanego przez Berthiera i generała Melasa w noc po bitwie, zawarto zawieszenie broni, które jednak złamane zostało 5 sierpnia i odnowione dopiero po zwycięstwie pod Hohenlinden.

Przez cały ten czas powstają spiski na życie pierwszego konsula. Ceracchi, Arena i Demendlle zostają aresztowani w operze w chwili, gdy zbliżyli się do Napoleona, by go zabić. Na ulicy Saint-Nicaise wybuchła maszyna piekielna w odległości 25 kroków od jego powozu. W tym samym czasie zaś Ludwik XVIII pisał do Napoleona jeden list za drugim, prosząc o zwrócenie tronu.

Wreszcie 9 lutego podpisany został pokój w Lunéville, potwierdzający wszystkie warunki pokoju zawartego w Campoformio. Wszystkie państwa położone na lewym brzegu Renu przeszły z powrotem pod panowanie Francji, jako granica posiadłości austriackich ustanowiona została rzeka Adyga, cesarz uznał Republikę Cisalpińską, Batawską i Helwecką; Toskania pozostawiona została Francji.

Tak więc republika znalazła się w stosunkach pokojowych z całym światem, z wyjątkiem Anglii, swego odwiecznego wroga. Napoleon postanowił przerazić ją zmanifestowaniem swej potęgi, założył tedy pod Boulogne obóz złożony z 200 000 ludzi, niezmierną zaś liczbą płaskich okrętów przeznaczonych do transportu tej armii nagromadzona została w północnych portach francuskich. W istocie, Anglia uległa się i 25 marca 1802 r. podpisany został układ w Amiens.

A tymczasem pierwszy konsul kroczył ledwie dostrzegalnymi krokami, a jednak szybko – do korony. Z wolna stawał się Bonaparte Napoleonem. Dnia 15 lipca 1801 r. podpisał konkordat z papieżem, 21 stycznia 1802 r. przyjął tytuł prezydenta Republiki Cisalpińskiej, 2 sierpnia mianowany został dożywotnim konsulem. Dnia 21 marca 1804 r. kazał rozstrzelać księcia d'Enghien w okopach Vincennes.

Gdy więc rewolucji splacono ten ostatni haracz, skierowano do Francji zapytanie: „Czy Napoleon Bonaparte ma zostać cesarzem Francuzów?”.

Pięć milionów głosów odpowiedziało twierdząco i Napoleon wstąpił na tron Ludwika XVI. Tylko trzech mężowie zastrzegli się w imieniu Nauki, tej wieczystej republiki, która nie ma Cezarów i nie uznaje Napoleonów.

Mężami tymi byli Lemercier, Ducis i Chateaubriand.

NAPOLEON CESARZEM

Ostatnie chwile konsulatu miały za pomocą wyroków skazujących na śmierć lub też aktów łaski utorować Napoleonowi drogę do tronu. Z chwilą jednak wstąpienia na tron przystąpił Napoleon do zorganizowania państwa na nowych zasadach.

Dawna szlachta feudalna przestała istnieć, Napoleon stwarza więc nową, wybraną z ludu. Dawne ordery rycerskie otoczone są pogardą, ustanawia tedy Legię Honorową. Od dwunastu lat ranga generała była najwyższym stopniem wojskowym; Napoleon mianuje dwunastu marszałków spośród swych towarzyszy trudów wojennych. Urodzenie i względy uboczne nie były brane w rachubę: matką ich była odwaga w boju, ojcem zaś – zwycięstwo.

Dziś, po 39 latach, pozostali przy życiu tylko trzej. Widzieli oni wschodzące słońce republiki i gasnącą gwiazdę cesarstwa. Pierwszy z nich jest w chwili, gdy piszę te słowa, gubernatorem Inwalidów (Moncey), drugi prezesem Rady Ministrów (Soult), trzeci wreszcie królem Szwecji (Bernadotte). Są to jedyne i ostatnie resztki plejad cesarskich, pierwsi dwaj utrzymali się na swej wyżynie, trzeci zaszedł jeszcze wyżej.

Dnia 2 grudnia 1804 r. Napoleon koronował się w katedrze Notre-Dame. Papież Pius VII przybył specjalnie z Rzymu, by nałożyć koronę na głowę nowego cesarza. Otoczony swoją gwardią, u boku Józefiny, udał się Napoleon w ośmiokonnym powozie do katedry. Papież, kardynałowie i arcybiskupi, biskupi i przedstawiciele wszystkich naczelnych władz w państwie oczekiwali go w katedrze. Na stopniach świątyni cesarz zatrzymał się na chwilę, by wysłuchać przemówienia i odpowiedzieć na nie, po czym wszedł do kościoła i wstąpił na przygotowany tron, mając na głowie koronę, a w ręku berło. W chwili określonej ceremoniałem przystąpił do cesarza jeden z kardynałów, wielki jałmużnik i jeden z biskupów, którzy poprowadzili go do stóp ołtarza. Teraz zbliżył się do niego papież, który udzielając mu potrójnego namaszczenia, wyrzekł donośnym głosem formułę koronacji, po czym wolnym i majestatycznym krokiem powrócił na swój tron. Z kolei przyniesiono nowemu cesarzowi święte Ewangelie. Wyciągając dłoń nad nimi, cesarz składa uroczystą przysięgę, zapisaną w konstytucji. Po złożeniu przysięgi herold wznosił okrzyk:

– Chwałą okryty najdosłojniejszy cesarz Francuzów został ukoronowany i wstąpił na tron. Niech żyje cesarz!

Okrzyk ten rozniósł się natychmiast echem po całej świątyni.

Zawtórowała mu salwa artylerii, po czym papież zaintonował „Te Deum”.

Z tą chwilą zakończyła żywot republika.

Nie wystarczyła jednak jedna korona. Olbrzym o stu ramionach Gerjona wydawał się mieć też trzy głowy. Dnia 17 marca 1805 r. zjawił się przedstawiciel Republiki Cisalpińskiej, by zaproponować Napoleonowi zjednoczenie królestwa włoskiego z cesarstwem francuskim, 26 maja zaś ukoronował się Napoleon w katedrze mediolańskiej żelazną koroną dawnych królów lombardzkich, którą nosił jeszcze Karol Wielki. Wkładając koronę na głowę, wyrzekł Napoleon te słowa: „Bóg mi ją dał i biada temu, kto jej dotknie!”

Z Mediolanu, w którym Eugeniusza zostawia jako wicekróla, udaje się Napoleon do Genui, która odtąd tworzy wraz z trzema departamentami obszar zjednoczony z cesarstwem.

Przy tej sposobności zamienia republikę Lukka w księstwo Piombino. Uczyniwszy swego pasierba wicekrólem, siostrę zaś księżniczką, zamierza z kolei z braci swych uczynić królów.

Wśród tego nowego kształtowania Europy dowiaduje się Napoleon, że Anglia ponownie nakłoniła Austrię do wojny z Francją. Nie dość na tym! Nasz sprzymierzeniec, car Paweł I, został zamordowany, a tron po nim objął syn jego, Aleksander, jedną zaś z pierwszych czynności nowego cara było zawarcie układu koalicyjnego z rządem brytyjskim. Do tego przymierza, które Europie narzuciło trzecią koalicję, przystępuje 9 sierpnia Austria.

Znów tedy sprzymierzeni monarchowie zmuszają cesarza do złożenia berła, generała zaś do ponownego chwycenia za broń. Napoleon udaje się do Senatu, który na jego żądanie uchwała pobór 80 000 ludzi. Nazajutrz cesarz wyrusza w drogę, by już 1 października przekroczyć Ren. Dnia 6 tegoż miesiąca wkracza do Bawarii, 12 – zajmuje Monachium, 20 – Ulm, a wreszcie 13 listopada zdobywa Wiedeń. Z końcem tego miesiąca jednoczy się z armią włoską, 2 grudnia zaś, w rocznicę swej koronacji, staje naprzeciw armii rosyjskiej i austriackiej na równinach pod Austerlitz.

Poprzedniego wieczoru Napoleon wykrył błąd popełniony przez nieprzyjaciół, którzy wszystkie swe siły skupili dokoła wioski Austerlitz, by obejść lewe skrzydło Francuzów.

Około południa Napoleon w towarzystwie marszałków Soult, Bernadotte'a i Bessièresa objeżdża szeregi piechoty i kawalerii gwardii, zapuszczając się aż do przednich straży konnicy Murata, które zamieniły już kilka strzałów z nieprzyjacielem. Stąd to, wśród gradu kul, obserwuje ruchy kolumn nieprzyjacielskich armii. Naraz błysnął mu w głowie, co często zdarzało się jego geniuszowi, cały plan Kutuzowa i odtąd w jego wyobraźni Kutuzow był już pobity. Wracając zaś do szafasu, który kazał wystawić sobie wśród gwardii na wzniesieniu, z którego roztaczał się widok na całą równinę, rzekł rzucając ostatnie spojrzenie na nieprzyjaciela: „Zanim jutro słońce zajdzie, cała ta armia będzie moja”.

O godzinie 5 po południu obwieszono armii następujący rozkaz dzienny:

„Żołnierze! Stoi przed Wami armia rosyjska, która pragnie pomścić klęskę Austriaków pod Ulm. Są to te same bataliony, które zostały przez Was pobite pod Hollabrunn i którym odtąd nieustannie dajecie się we znaki.

Żołnierze! Ja sam będę was prowadzić. Pozostanę z dala od ognia, jeśli przy Waszej wrodzonej odwadze szereg będziecie spustoszenie i chaos w szeregach wroga. Gdyby jednak choćby na chwilę zwycięstwo miało się zachwiać, zobaczycie, jak cesarz Wasz rzuci się do pierwszych szeregów. Zwycięstwo bowiem nie może być niepewne, a już najmniej w dniu, w którym rozstrzygnie się honor francuskiej piechoty.

Niechaj nikt nie opuszcza szeregów pod pozorem wynoszenia rannych, a każdy niech przejęty będzie myślą, że ci najemnicy Anglii, którzy tak wielką nienawiścią pałają do naszego narodu, muszą być pokonani!

Zwycięstwo to zakończy naszą kampanię, po czym zaciągniemy kwatery zimowe, połączą się z nami nowe armie, tworzące się obecnie we Francji. Zawrzemy następnie pokój, który będzie godny narodu mojego, będzie godny Was i Waszego cesarza”.

Bitwa rozwinęła się jak na szachownicy i jakby za uderzeniem pioruna (słowa Napoleona) rozbiła się koalicja.

Trzeciego dnia zjawił się osobiście cesarz austriacki, by prosić o pokój, który sam złamał. Spotkanie obu cesarzy nastąpiło w pobliżu młyna, pod gołym niebem.

– Sire – rzekł Napoleon na powitanie Franciszka II – przyjmuję Waszą Cesarską Mość w jedynym pałacu, który od dwóch miesięcy zamieszkuje.

W toku rozmowy doszło między obu cesarzami do zgody w sprawie zawieszenia broni. Ustalono też zostały główne warunki pokoju. Rosjanie, których Napoleon mógł zniszczyć do ostatniego żołnierza, mogli uczestniczyć w zawieszeniu broni na prośbę cesarza Franciszka i przyrzeczenie cara Aleksandra, że opróżni Niemcy, jak też tę część Polski, która pozostawała pod zaborem austriackim i pruskim. Warunki te zostały dotrzymane.

Zwycięstwo pod Austerlitz było dla cesarstwa tym, czym było zwycięstwo pod Marengo: utwierdzeniem przeszłości, obietnicą na przyszłość.

Król Neapolu Ferdynand pozbawiony został tronu za naruszenie układu pokojowego z Francją, następcą jego zaś został Józef, najstarszy brat Napoleona. Republikę Batawską, wyniesioną do godności królestwa, otrzymał Ludwik. Murat dostał wielkie księstwo Bergu, marszałek Berthier został księciem Neuchâtel, pan de Talleyrand zaś księciem Benewentu. Wielkie cesarstwo wraz z zależnymi królestwami, księstwami lennymi i Związkiem Reńskim osiągnęło w niespełna dwa lata obszar tak wielki jak ongiś kraje, którymi władał Karol Wielki.

Już nie berło, lecz kulę ziemską dzierzył w swym ręku Napoleon!

Pokój zawarty w Preszburgu (Bratysławie) trwał około roku. W tym czasie Napoleon założył uniwersytet cesarski i polecił opracować kodeks cywilny wraz z procedurą. Te czynności administracyjne musiał wkrótce przerwać wskutek wrogiego stanowiska Prus, których siły zbrojne uszanowane zostały dzięki neutralności w czasie ostatnich wojen. Tak więc Napoleon zmuszony jest w krótkim czasie przeciwstawić się czwartej z rzędu koalicji. Królowa Ludwika przypomniała carowi Aleksandrowi, że oboje poprzysięgli nad grobem Fryderyka Wielkiego nierozdzielne przymierze z Francją. Aleksander zapomina o swym pierwszym i drugim zobowiązaniu, Napoleon zaś otrzymuje pod groźbą wypowiedzenia wojny rozkaz wycofania swych żołnierzy poza Ren.

Napoleon poleca wezwać swego ministra wojny i, pokazując mu ultimatum pruskie, rzecze:

– Zapraszają nas na honorowe spotkanie. Nigdy jeszcze w takim wypadku żaden Francuz nie odmówił. Ponieważ zaś piękna królowa chce być świadkiem walki, musimy być uprzejmi. Żeby jednak zbyt długo nie musiała czekać, musimy bez wytchnienia pomaszerować aż do Saksonii!

Tym razem więc, kierowany galanterią, wznawia i przewyższa jeszcze błyskawiczną szybkością ostatnią ofensywę. Pochód na Prusy otwierają 7 października 1806 r. korpusy Murata, Bernadotte'a i Davouta, pochód ten trwa przez kilka następnych dni i kończy się 14 tegoż miesiąca bitwą pod Jeną i Auerstädt. Dnia 16 października składa broń 14 000 żołnierzy pruskich pod Erfurtem, 25 zaś wojska francuskie wkraczają do Berlina. Siedem dni starczyło, by monarchia Fryderyka Wielkiego dostała się wielkiemu budowniczemu i burzycielowi tronów, który Bawarii, Wirtembergii i Holandii dał królów, Burbonów wygnał z Neapolu, dynastię lotaryńską zaś z Włoch i Niemiec.

Dnia 27 października Napoleon wystosował z kwatery głównej w Poczdamie następujący rozkaz dzienny, streszczający zwięźle całą kampanię:

„Żołnierze! Nie zawiedliście moich oczekiwań i godnie spełniliście zaufanie narodu francuskiego. Znosiliście niedostatek i trudy z tą samą odwagą, z jaką kroczyliście do boju. Jak długo ten duch w Was żywie, nic Wam się ostać nie zdoła. Konnica tak świetnie szła w zawody z piechotą i artylerią, że doprawdy nie wiem od tej chwili, której broni przyznać pierwszeństwo. Wszyscy jesteście dobrymi żołnierzami. Posłuchajcie wyników Waszych trudów wojennych: jedno z pierwszych mocarstw europejskich, które odważyło się zaproponować nam haniebną kapitulację, legło w gruzach. Lasy i wąwozy Frankonii, rzeki Sala (Issole) i Łaba, przez które ojcowie nasi przez siedem lat nie zdołali się przeprawić – myśmy w siedem dni przekroczyli, staczając jeszcze w tym czasie cztery potyczki i jedną wielką bitwę. Sławę naszych zwycięstw wyprzedziliśmy w Poczdamie i Berlinie. Zdobyliśmy 60 000 jeńców, 65 sztandarów bojowych, w ich liczbie chorągiew gwardii króla pruskiego, 600 armat, zajęliśmy trzy twierdze i wzięliśmy do niewoli ponad 20 generałów. A jeszcze połowa z Was ubolewa, iż nie oddała dotąd ani jednego strzału. Wszystkie prowincje aż po Odrę w Waszym są posiadaniu.

Żołnierze! Chełpią się Rosjanie, iż na nas napadną. Wyjdziemy im naprzeciw,

oszczędzając im w ten sposób połowę drogi. Tutaj, w Prusiech, będą mieli drugie Austerlitz. Naród, który tak szybko zapomniał o wielkoduszności, jaką okazaliśmy mu po tej bitwie, gdzie ich cesarz, dwór i niedobitki armii zawdzięczają swe ocalenie jedynie udzielonej przez nas kapitulacji, naród taki nie może z powodzeniem walczyć przeciwko nam. Zresztą, zajmą jeszcze nasze miejsca, w czasie gdy wyruszymy naprzeciw Moskalom, nowe armie, utworzone we Francji, by strzec naszych zdobyczy. Cały mój naród podniósł się pełen oburzenia przeciwko haniebnym kapitulacji, którą ministrowie pruscy zaproponowali nam w napadzie szaleństwa. Ulice miast naszych roją się od świeżo zaciągniętych żołnierzy, którzy płoną żądzą pójścia w Wasze ślady. Odtąd nie będziemy narażeni na zdradziecki pokój i dopóty nie złożymy broni, dopóki nie zmusimy Anglików, tych odwiecznych wrogów naszego narodu, by wyrzekli się ataków na bezpieczeństwo kontynentu i hegemonii na morzach, do której roszczą sobie pretensje.

Żołnierze! Nie mogę Wam lepiej wyrazić swych uczuć, jak zapewniając Was, że w głębi serca żywię ku Wam tę miłość, którą Wy mi każdego dnia okazujecie!”

W chwili gdy król pruski, na podstawie podpisanego zawieszenia broni, wydaje w ręce Francuzów wszystkie pozostałe twierdze, Napoleon nakazuje postój. Teraz zwraca się przeciwko Anglii, uderzając w nią z braku innej broni – dekretem. Przeciwko Wielkiej Brytanii zostaje ogłoszona blokada; zabroniony jest odtąd wszelki handel, wszelka wymiana listów z wyspami brytyjskimi. Żaden list pisany w języku angielskim nie może być przesyłany pocztą. Wszyscy poddani króla Jerzego, znajdujący się na obszarze Francji lub krajów okupowanych przez naszych sprzymierzeńców, mają być internowani. Wszelkie posiadłości ziemskie, wszelkie towary stanowiące własność Anglików mają ulec konfiskacie na rzecz skarbu państwa. Żaden wreszcie okręt, przybywający czy to z Anglii, czy to z kolonii angielskiej, nie może zawinąć do jakiegokolwiek portu.

Zawiesiwszy klątwę nad całym królestwem niby papież polityczny, mianuje Napoleon generała Hulina gubernatorem stolicy pruskiej, sam zaś wyrusza naprzeciw armii rosyjskiej, która podobnie jak pod Austerlitz spieszy swym sprzymierzeńcom na pomoc i jak pod Austerlitz zjawia się wtedy, gdy tamci są pobici. Jeszcze tylko wysłał do Paryża szablę Fryderyka Wielkiego, jego wstęgę Orderu Czarnego Orła, szarfę generalską i chorągiew, która prowadziła gwardię Fryderyka do boju w pamiętnej wojnie siedmioletniej, by już 25 listopada pospiesznie opuścić Berlin, idąc na spotkanie wroga.

Pod Warszawą Murat, Davout i Lannes napotyka Moskali. Po krótkiej potyczce opuszcza Bennigsen stolicę Polski, do której wkraczają wojska francuskie. Jak jeden mąż cały naród polski staje po stronie Francuzów, ofiarując swe mienie i życie i żądając w zamian jedynie niepodległej ojczyzny. Wieść o pierwszym zwycięstwie dochodzi do Napoleona w Polsce, gdzie zatrzymał się, by ustanowić króla. Wybór pada na starego elektora saskiego, którego koronę zatwierdza.

Rok 1806 zakończył się walkami pod Pułtuskim i Gołyminem, następny zaś rok rozpoczął się bitwą pod Iławą Pruską, osobliwą, nie rozstrzygniętą bitwą, w której Rosjanie stracili 8000, Francuzi zaś 10 000 ludzi, przy czym obie strony przypisywały sobie zwycięstwo, a car nawet kazał „Te Deum” śpiewać za to, że w rękach naszych wojsk pozostawił 15 000 jeńców, 40 armat i 7 sztandarów bojowych. W rzeczy samej był to pierwszy wypadek, że car rzeczywiście zmierzył się z Napoleonem, wychodząc obronną ręką. Już dlatego mógł uchodzić za zwycięzcę.

Niedługo jednak dane mu było chełpić się sukcesem. Dnia 26 maja wojska francuskie zajmują Gdańsk, w kilka dni później Moskale zostają pobici w paru potyczkach. Wreszcie wieczorem 13 czerwca obie armie stają naprzeciw sobie w ordynku bojowym pod Friedlandem. Nazajutrz zaczyna się kanonada. Napoleon zaś maszeruje przeciwko wojskom nieprzyjacielskim z okrzykiem: „Dzień to szczęśliwy, dziś rocznica bitwy pod Marengo!” W istocie bitwa ta, jak owa pod Marengo, przyniosła rozstrzygnięcie. Moskale zostali rozbici w

puch. Car Aleksander utracił 60000 żołnierzy; 120 armat i 25 sztandarów stanowiło trofeum zwycięstwa, niedobitki zaś pokonanej armii uciekają w popłochu, nie myśląc nawet o możliwości stawiania oporu. Chronią się wreszcie na drugim brzegu Pregoty, niszcząc zarazem wszystkie mosty.

Mimo tych trudności Francuzi przeprawiają się przez rzekę i maszerują wprost za Niemen, tę ostatnią zaporę, którą Napoleon musi jeszcze przełamać, by teren walki przenieść na terytorium cara.

Teraz dopiero cara ogarnęła prawdziwa trwoga. Prysnał czar brytyjskich obietnic. Aleksander znalazł się w podobnej sytuacji jak po Austerlitz, bez żadnej nadziei na pomoc z jakiegokolwiek strony. Po raz drugi więc car postanawia upokorzyć się. O pokój, który tak długo i uporczywie odrzucał, jak długo miał możliwość dyktowania jego warunków, teraz musi uniesienie prosić i przyjąć w formie narzuconej przez zwycięzcę.

Dnia 24 czerwca generał artylerii Riboissière każe zbudować tratwę na Niemnie i ustawić na niej namiot, przeznaczony na spotkanie dwu cesarzy. Obaj monarchowie mieli się udać do namiotu z przeciwległych brzegów.

Dnia 25 czerwca o godzinie pierwszej Napoleon opuścił lewy brzeg rzeki, udając się do przygotowanego namiotu w towarzystwie księcia Murata, marszałków Berthiera i Bessièresa, generała Duroca i wielkiego koniuszego Caulaincourta. Równocześnie z prawego brzegu wyruszył car Aleksander w towarzystwie wielkiego księcia Konstantego i świty. Przybywszy na tratwę, obaj cesarze padli sobie w ramiona. Było to przygrywką do pokoju w Tylży, podpisanego 9 lipca 1807 r.

Prusy poniosły koszty wojenne. Jakby dwie twierdze ustanowione zostały królestwa Saksonii i Westfalii, by trzymać straż nad pokojem. Aleksander i Fryderyk Wilhelm uznali uroczyste Józefa, Ludwika i Hieronima za swych ukoronowanych braci. Pierwszy konsul Bonaparte tworzył republiki, cesarz Napoleon zamieniał je w księstwa lenne.

Jako dziedzic trzech dynastii, które kolejno rządziły Francją, pragnął powiększyć jeszcze dziedzictwo Karola Wielkiego, Europa zaś musiała się na to zgodzić.

Zakończywszy tę pełną chwały wyprawę wojenną, 27 lipca tego samego roku Napoleon wraca do Paryża. Teraz nie miał już żadnego wroga prócz Anglii, której zresztą klęski sprzymierzeńców dały się ogromnie dotkliwie we znaki, choć mimo wszystko utrzymywała się hardo na obu krańcach kontynentu: w Szwecji i Portugalii.

Wskutek zarządzonej w Berlinie blokady kontynentalnej znalazła się Anglia – jak już powiedziano – jakby pod kłatwą całej Europy: Rosja i Dania zamknęły jej dostęp do portów na morzach północnych, Francja zaś, Holandia i Hiszpania na oceanie i Morzu Śródziemnym, zobowiązawszy się uroczyste nie utrzymywać z nią żadnych kontaktów handlowych. Pozostały jeszcze zatem tylko Szwecja i Portugalia. Napoleon wziął na siebie Portugalię, Aleksander zaś Szwecję. Postanowieniem z 27 października 1807 r. Napoleon pozbawił tronu dynastię bragancką, Aleksander natomiast zobowiązał się 27 października 1808 r., wyruszyć przeciwko Gustawowi szwedzkiemu.

W miesiąc później Francuzi byli w Lizbonie.

Zdobycie Portugalii było tylko przygrywką do zajęcia Hiszpanii, gdzie rządy sprawował Karol IV wzięty w krzyżowy ogień dwóch przeciwników swego faworyta Godoya i swego syna Ferdynanda, księcia Asturii. Gdy Godoy zbuntował się w czasie wojny pruskiej, Napoleon rzucił tylko jedno spojrzenie na Hiszpanię, krótkie, niedostrzegalne spojrzenie, które jednak wystarczyło, by otworzyć przed nim widoki obsadzenia wkrótce tronu hiszpańskiego. Zaledwie więc wojska jego zajęły Portugalię, już zaczęły wdzierać się do wnętrza Półwyspu Iberyjskiego. Tu, pod pozorem wojny na morzu i blokady, obsadziły najpierw wybrzeża i posuwając się coraz bardziej w głąb kraju otoczyły pierścieniem Madryt. Wystarczyło tylko pierścień zacieśnić, by stać się panem stolicy. Tymczasem jednak przeciwko ministrowi Godoyowi wybuchło powstanie, które wyniosło księcia Asturii, jako

Ferdynanda VIII, na króla. Niczego więcej sobie Napoleon nie życzył.

Wojska francuskie natychmiast wkraczają do Madrytu. Cesarz spieszy do Bajonny, gdzie zwołuje książąt hiszpańskich, zmusza Ferdynanda VIII do oddania korony ojcu, jego samego zaś wysyła jako jeńca do Valencay. Bezpośrednio potem sędziwy Karol IV zrzeka się korony na rzecz Napoleona. Korona przyznana zostaje najstarszemu bratu Napoleona, Józefowi. Dzięki tej zmianie zwalnia się tron Neapolu, który Napoleon ofiaruje swemu szwagrowi, Muratowi. W ten sposób, prócz jego własnej, pięć koron królewskich staje się własnością rodu.

W miarę rozszerzania swej władzy Napoleon rozszerza również i teren wojny. Naruszone przez blokadę interesy Holandii, Austria, upokorzona utworzeniem królestw Bawarii i Wirtembergii, zawiedziony w swoich nadziejach Rzym, a wreszcie Hiszpania i Portugalia, których uczucia narodowe doznały strasznej obelgi – wszystko to tworzy echa towarzyszące nieustannemu okrzykowi wojennemu Anglii.

Ze wszystkich stron organizuje się naraz gwałtowny atak, choć nie równocześnie wybucha.

Pierwsze hasło daje Rzym. Dnia 3 kwietnia legat papieski opuszcza Paryż; natychmiast generał Miollis otrzymuje rozkaz wkroczenia na czele wojsk do Rzymu. Na groźbę papieża, iż rzuci ekskomunikę na nasze wojska, odpowiadają nasi zdobyciem Ankony, Urbino, Maceraty i Camerino.

Śladem Rzymu idzie Hiszpania. Sewilla uznała Ferdynanda VIII za prawowitego króla, wzywając zarazem wszystkie prowincje hiszpańskie do broni. Wybucha powstanie, generał Dupont zmuszony zostaje do kapitulacji, Józef zaś musi opuścić Madryt.

Z kolei wybucha powstanie Portugalczyków w Oporto. Junot, któremu zabrakło wojska do utrzymania w ryzach podbitego kraju, musiał opuścić Portugalie, zajęta teraz przez Wellingtona na czele 25 000 ludzi.

Napoleon uważał sytuację za dostatecznie poważną, by wymagała jego obecności. Wiedział wprawdzie, że Austria zbroi się potajemnie, jednak przed upływem roku nie będzie uzbrojona; wiedział też, że Holandia uskarża się na ruinę swego handlu, jak długo jednak zadowalała się skargami, był zdecydowany nie baczyć na nie. Pozostawało mu tedy aż nadto czasu wolnego na odzyskanie Portugalii i Hiszpanii.

Napoleon ukazał się na pograniczu Hiszpanii z 80 000 niemieckich weteranów. Zdobycie szturmem miasta Burgos było sygnałem jego zjawienia się. Nastąpiło zwycięstwo pod Tudelą, po czym bagnietami zdobyto Somosierrę, 4 grudnia zaś Napoleon wkroczył uroczyście do Madrytu.

W Hiszpanii zapanował spokój i kraj rychło podporządkował się nowemu władcy. W tym czasie nowe zbrojenia Austrii odwołują Napoleona do Paryża. Przybywszy do stolicy, żąda wyjaśnień od posła austriackiego, którego argumenty uznaje za zgoła niewystarczające. W kilka dni potem Napoleon dowiaduje się, że wojska austriackie przepawiły się przez Inn i napadły na Bawarię. Tym razem ubiegła nas Austria, gdyż prędzej od nas znalazła się w pogotowiu. Napoleon zwraca się do Senatu, który zgodnie z życzeniem cesarza uchwała pobór 40 000 ludzi. Dnia 17 kwietnia Napoleon był już w Donauwörth wśród armii, 20 wygrał bitwę pod Thann, w następnych zaś kilku dniach bitwy pod Abensbergiem, Eckmühl i Regensburgiem.

Niedługo potem cesarz znalazł się pod murami Wiednia, 13 maja zaś wkroczył do stolicy naddunajskiej.

Dnia 11 lipca zjawił się książę Lichtenstein, by prosić o zawieszenie broni. Nie był w obozie naszym nie znany, wszak nazajutrz po bitwie pod Marengo przybył w podobnym poselstwie. Dnia 12 lipca w Znaimie zostało zawarte zawieszenie broni.

Równocześnie rozpoczęły się układy pokojowe, które trwały przez trzy miesiące. Przez cały ten czas Napoleon mieszkał w Schönbrunnie, gdzie cudem uniknął sztyletu syna pastora z Turynii, Stapssa. Wreszcie – 14 października pokój został zawarty.

Widzimy, jak wszystko zaczyna działać przeciwko Napoleonowi, a jednak nic jeszcze nie mogło przeciwstawić się jego potędze. Portugalia zawarła sojusz z Anglią – natychmiast zasypuje ją Napoleon swymi wojskami. Hiszpanie wzniesli powstanie – Napoleon zmusza Karola IV do abdykacji. Papież urządził w Rzymie ogólne spotkanie posłów angielskich – Napoleon obchodzi się z nim jak z suwerenem świeckim i pozbawia papieża tronu. Natura odmówiła Józefinie potomstwa z Napoleonem – cesarz więc poślubia córkę cesarza austriackiego Marię Ludwikę, która obdarza go synem. Holandia stała się wbrew wziętemu na siebie zobowiązaniu składem towarów angielskich – Napoleon detronizuje Ludwika, przyłączając jego królestwo do Francji.

Obszar cesarstwa Napoleona liczył teraz 130 departamentów i rozciągał się od oceanu brytyjskiego aż po morza greckie, od rzeki Tajo po Łabę. 120 milionów ludzi, posłusznych woli jednego człowieka i jedną drogą prowadzonych, wznosiło okrzyk w ośmiu różnych językach:

„Niech żyje Napoleon!”

Generał zdaje się być w zenicie sławy, cesarz u szczytu szczęścia. Widzieliśmy dotąd nieustanny wzrost jego potęgi. Teraz zatrzymuje się w miejscu, pozostając przez rok na wyżynach swego majestatu. Musi bowiem zaczerpnąć tchu do zejścia na niziny.

Dnia 1 kwietnia 1810 r. Napoleon poślubił arcyksiężniczkę austriacką Marię Ludwikę, w jedenaście zaś miesięcy potem 101 wystrzałów armatnich obwieściło światu narodziny dziedzica tronu.

Jednym z pierwszych skutków skolidacji się Napoleona z domem habsbursko-lotaryńskim było oziębienie jego stosunków z carem rosyjskim, który jeśli wierzyć doktorowi O'Meara, zaofiarował mu rękę swej siostry, wielkiej księżniczki Anny. Na widok rozrastającego się ustawicznie cesarstwa napoleońskiego, które niby ocean coraz bliżej i bliżej zalewa go swymi falami, Aleksander, począwszy od roku 1810, powiększa stale swe wojska i nawiązuje z powrotem stosunki z Wielką Brytanią. Rok 1811 minął na bezowocnych rokowaniach, co uprawdopodobniało coraz bardziej wybuch nowej wojny. Obie strony zatem zaczęły się zbroić, zanim jeszcze wojna została wypowiedziana.

Dnia 9 marca Napoleon opuścił Paryż, polecając księciu Bassano możliwie jak najdłużej przetrzymać paszport ambasadora rosyjskiego, księcia Kurakina. Polecenie to, pozwalające na pozór spodziewać się raczej pokoju, miało w istocie na celu o ile możności jak najdłuższe utrzymywanie cara Aleksandra w nieświadomości co do właściwych zamiarów jego nieprzyjaciela, któremu tym łatwiej będzie niespodzianie napaść na armię rosyjską.

Napoleon zazwyczaj trzymał się tej taktyki, która i tym razem nie zawiodła. „Monitor” ograniczył się jedynie do wzmianki, że cesarz opuszcza Paryż, by odwiedzić wielką armię skupioną nad Wisłą i że towarzyszyć mu będzie aż do Drezna cesarzowa, która zamierza złożyć wizytę swej najdostojniejszej rodzinie.

W Dreźnie Napoleon zabawił 14 dni, podczas których urządził Talmie i pannie Mars – jak to im przyrzekł w Paryżu – przedstawienie przed widownią złożoną z królów.

Dnia 2 czerwca cesarz przybywa do Torunia, 22 zaś tego miesiąca obwieszcza armii swój powrót do Polski w następującym rozkazie dziennym:

„Żołnierze! Rosja zaprzysięgła Francji wieczyste przymierze, Anglii zaś – wojnę. Dziś ta sama Rosja łamie przysięgę, nie chcąc dopóty wyjaśnić swego osobliwego stanowiska, dopóki orły francuskie nie cofną się poza Ren, by w ten sposób nasi sprzymierzeńcy wydani zostali na łaskę Moskali. Czyż myślą sobie, że jesteśmy tak zwyrodniali? Czyżbyśmy nie byli już żołnierzami spod Austerlitz? Mamy do wyboru między hańbą a wojną, ta zaś nie może być dla nas wątpliwa. Naprzód! Przekroczmy Niemen i przenieśmy teren wojny do Rosji! Armia francuska okryje się tam sławą. Pokój, który zawrzemy, musi położyć kres nieszczęsnym wpływom, jakie wywiera gabinet moskiewski na sprawy Europy”.

Armia, do której Napoleon przemawiał tymi słowami, była najpiękniejsza, najbardziej

liczna, a zarazem najmocniejsza z tych, które kiedykolwiek znajdowały się pod jego rozkazami. Podzielona była na 15 korpusów, z których każdym dowodził książę lub król. Razem armia ta liczyła 400 000 piechoty, 70 000 kawalerii i 1000 dział.

Trzech dni wymagało przejście przez Niemen. Przeznaczono na to 23, 24 i 25 czerwca. Napoleon stał przez chwilę nieruchomo w milczeniu, zagłębiony w myślach, na lewym brzegu rzeki, na której przed trzema laty car Aleksander zaprzysiął mu wieczystą przyjaźń. Wreszcie, przepływając się na drugi brzeg, wyrzekł słowa: „Fatum ciągnie Moskali w dół, niechaj rozstrzygną się losy!”

Jak zwykle, cesarz zaczyna pochód milowymi krokami. Po dwóch dniach dobrze obmyślanego marszu, nic nie przeczuwająca armia rosyjska została rozbita. Wówczas Aleksander polecił zawiadomić Napoleona, że gotów jest do rokowań pod warunkiem jednak, że wojska francuskie wycofają się z okupowanych obszarów poza Niemen. Krok ten wydawał się Napoleonowi tak dziwny, że odpowiedział nań wkroczeniem nazajutrz do Wilna. Tutaj zabawił przez 20 dni, tworząc tymczasowy rząd, podczas gdy w Warszawie zebrał się Sejm, by obradować nad wskrzeszeniem królestwa polskiego. Następnie wyruszył w dalszą drogę, by dalej ścigać armię rosyjską.

Drugiego dnia marszu Napoleon uświadomił sobie z przerażeniem obrany przez cara Aleksandra system obrony. W czasie swego odwrotu Moskale zniszczyli wszystko: plony, zamki i chaty. Półmilionowa armia posuwała się naprzód wśród pustkowiec, które niegdyś nie mogło wyżywić nawet Karola XII i jego 20 000 Szwedów.

Od brzegów Niemna do Wilna maszerowali Francuzi wśród blasku łun i pożarów po gruzach i trupach. W ostatnich dniach lipca wojska francuskie doszły do Witebska, dziwiąc się tej niezwyklej wojnie, w której nie napotymano na żadnego wroga, mając do czynienia jedynie z demonami zniszczenia. Napoleon – jak już wspomniano – sam był przerażony tego rodzaju planem strategicznym, którego w swoich obliczeniach nie mógł przewidzieć. Nie widział przed sobą nic ponad niezmierzone pustkowiec, do których kresu miał dojść dopiero po roku, i gdzie każdy krok oddalał go od Francji, od sprzymierzeńców i od wszystkich środków pomocy. Przybywszy do Witebska, opadł przygnębiony na krzesło, polecił natychmiast wezwać hrabiego Daru i rzekł do niego: „Tutaj pozostaję i zamierzam przyjść do siebie, ściągnąć tu moją armię na wypoczynek, po czym wezmę się do zorganizowania Polski. Kampania roku 1812 jest ukończona, reszty dokona rok 1813. Co się tyczy pana, niech pan poczyni starania, byśmy tutaj mogli wyżyć, bo nie popełnimy błędu Karola XII. – Następnie, zwrócony do Murata, dodał – Zatknijmy tutaj nasze orły! Rok 1813 zobaczy nas w Moskwie, 1814 w Petersburgu, cała wojna z Rosją potrwa trzy lata”.

Wydawało się, że Napoleon istotnie powziął takie postanowienie. Teraz jednak Aleksander nasyła na niego Moskali, którzy dotąd znikali przed Napoleonem niby upiory. Jak gracz zwabiony dźwiękiem złota, tak też i Napoleon nie może dłużej się powstrzymać i ściga ich zawzięcie. Dnia 14 sierpnia dosięga ich i bije pod Krasnoj, by już 18 wypędzić ich ze Smoleńska, który opuszcza wśród dymu pożarów. Dnia 30 sierpnia zajmuje Wiaźmę, gdzie wszystkie magazyny są zniszczone. Odkąd przekroczył Niemen i znalazł się na terytorium rosyjskim, wszystkie oznaki zapowiadają wybuch wielkiej wojny narodowej.

Nareszcie dowiaduje się Napoleon, że armia rosyjska, zmieniawszy dowódcę, zamierza stoczyć bitwę na pozycji, w której teraz pospiesznie okopuje się. Licząc się z ogólnym nastrojem, który niepowodzenia wojenne przypisywał nieodpowiedniemu doborowi generałów, car Aleksander oddał naczelną komendę swych wojsk generałowi Kutuzowowi, zwycięzcy Turków. Nowy dowódca w przekonaniu, że dla zyskania sobie miru wśród armii i narodu powinien raczej stoczyć bitwę niż dopuścić nas do Moskwy, zdecydowany był przyjąć nieprzyjaciela w pobliżu Borodina, gdzie ściągnął z Moskwy 10 000 naprędce zorganizowanej milicji.

Obie strony przygotowują się do decydującej bitwy. Moskale spędzają dzień 5 sierpnia na

modłach, Francuzi zaś, przywykli jedynie do „Te Deum”, nie zaś do modlitw, ściągają forpocztę, skupiają swe oddziały, opatrują broń i ustawiają w odpowiednich miejscach artylerię. Siły obu stron są mniej więcej równe. Moskale mają 230 000 ludzi, nasi zaś 250 000.

O godzinie 5 nad ranem cesarz dosiada konia i objeżdża, pod osłoną szarzejącego dnia, na pół odległości strzału wzdłuż całej pozycji nieprzyjacielskiej. O godzinie 3 po południu cesarz wyjeżdża po raz drugi, by przekonać się, czy nic się od rana nie zmieniło. Znalazłszy się na wzniesieniach pod Borodino, sprawdza z lunetą w ręku swe pierwotne spostrzeżenia. Jakkolwiek orszak cesarza składał się z niewielu osób, poznali go Moskale i po chwili padł z linii rosyjskich strzał armatni, jedyny tego dnia, i trafił o kilka kroków przed cesarzem.

O godzinie pół do piątej Napoleon wraca do obozu, gdzie zastaje pana de Bausseta, który mu wręcza listy Marii Ludwiki i portret króla rzymskiego pędzla Gerarda. Portret ustawiony został przed namiotem, toteż otoczyło go kołem grono marszałków, generałów i oficerów.

– Zabierzcie ten portret – rzecze Napoleon – nie należy mu nazbyt wcześnie pokazywać pola bitwy.

Wróciwszy do namiotu, Napoleon dyktuje następujące rozkazy:

„W ciągu nocy mają być rzucone dwa szaniec naprzeciw okopów zbudowanych za dnia przez wroga. Lewy szaniec ma być obsadzony przez 42, prawy przez 72 działa. O świcie prawy szaniec otworzy ogień po czym da ognia również i lewy. Książę Poniatowski wyruszy przed wschodem słońca na czele piątego korpusu, tak żeby do godziny szóstej obejść lewe skrzydło nieprzyjaciela. Gdy bitwa będzie rozpoczęta, cesarz wyda dalsze rozkazy stosownie do wymagań chwili”.

Po ustaleniu tego planu Napoleon rozdziela wojska swe w ten sposób, by jak najmniej zwróciły na siebie uwagę nieprzyjaciela.

Tej nocy cesarz spał zaledwie godzinę. Co chwila każe zapytać, czy nieprzyjaciel jeszcze się nie ulotnił.

O godzinie 4 nad ranem wchodzi do namiotu cesarza generał Rapp. Cesarz siedzi z zasłoniętym oburącz czołem. Na widok wchodzącego generała mówi:

– Co nowego, Rapp?

– Sire, nieprzyjaciel jeszcze jest!

– Będzie to straszna bitwa! Rapp, wierzy pan w zwycięstwo?

– Wierzę, sire, ale w krwawę.

– Wiem i ja o tym – odpowiada cesarz. – Mam jednak 80 000 ludzi, 20 000 stracę, z 60 000 wkroczę do Moskwy. Tam przyłączą się maruderzy oraz bataliony marszowe, tak iż będziemy jeszcze silniejsi aniżeli przed bitwą.

Jak widać, obliczając liczbę żołnierzy, Napoleon nie uwzględnił ani swej gwardii, ani kawalerii, zdecydowany jest bowiem bez nich wygrać bitwę, która ma być jedynie walką artylerii.

W tej chwili rozbrzmiewa nagle ogólny okrzyk radości: „Niech żyje cesarz!” grzmi na całej linii. O pierwszym brzasku dnia odczytano żołnierzom następujący rozkaz dzienny, jeden z najpiękniejszych, najbardziej szczerych i zwięzłych rozkazów Napoleona:

„Żołnierze!

Oto nareszcie bitwa, której tak bardzo pragnęliście. Odtąd zwycięstwo zależy wyłącznie od Was. Jest ono konieczne. Przyniesie nam dostatek i zapewni dobre kwatery zimowe oraz rychły powrót do ojczyzny. Okażcie się żołnierzami spod Austerlitz, spod Friedlandu, spod Witebska i Smoleńska. Niechaj potomność, mówiąc o którymkolwiek z nas, powie:

Brał udział w wielkiej bitwie pod murami Moskwy!”

Zaledwie umilkły okrzyki, prosi Ney, jak zawsze niecierpliwie, o pozwolenie rozpoczęcia bitwy. Natychmiast wszyscy chwytają za broń, każdy przysposabia się do tego wielkiego widowiska, które ma rozstrzygnąć o losach Europy. Jak strzały mkną adiutanci na wszystkie

strony. O godzinie pół do szóstej rano prawy szaniec zaczyna ogień, po chwili odpowiada mu lewy, po czym wszystko rusza z miejsca, wszystko posuwa się naprzód.

Pierwszy rzuca się do walki Davout na czele obu swych dywizji. Lewe skrzydło armii Eugeniusza, którego zadaniem było pozostać w miejscu dla obserwacji, daje się porwać pod wpływem piekielnego skwaru i wbrew rozkazowi swego dowódcy przekracza wieś Borodino, zatrzymując się pod Górkami, gdzie Moskale tłuką ich z przodu i z flanki. Spieszy mu z pomocą pułk 92, który zbiera jego niedobitki i wyprowadza je z ognia, jednak na wpół rozbite i pozbawione dowództwa, ponieważ dowodzący generał poległ.

W tej chwili Napoleon przypuszczając, że Poniatowski miał już dość czasu, by przeprowadzić swój manewr, rzuca Davouta na pierwszy szaniec. Za nim idą dywizje Compansa i Desaixa, ciągnąc za sobą 30 armat. Cała linia nieprzyjacielska stanęła nagle w ogniu.

Nasza piechota posuwa się naprzód bez strzału, spiesząc, by zdusić ogień nieprzyjacielski. Compans pada zraniony, na jego zaś miejsce pędzi Rapp na czele oddziałów idących do ataku z najeżonymi bagnietami. W chwili gdy znalazł się na szańcu, pada trafiony nieprzyjacielską kulą. Jest to jego 22 rana. Trzeci z kolei generał zajmuje jego miejsce i również zostaje ranny, koń Davouta pada trafiony kulą armatnią, księżę Eckmühl zaś stacza się na ziemię. Wydawało się zrazu, że został zabity, on jednak podniósł się szybko, dosiadł innego konia, doznawszy tylko lekkiej kontuzji.

Rapp każe się zanieść przed oblicze cesarza.

– Jakże, Rapp – woła Napoleon – znowu ranny!

– Zawsze, sire! Wasza Cesarska Mość wie – to mój zwyczaj. – Co się tam dzieje w górze?

– Cuda! Ale dla dokończenia dzieła potrzebna jest gwardia.

– Tego będę się wystrzegał – odpowiada Napoleon, wykonując ruch, jakby się budził z odrętwienia – nie chcę jej dać zniszczyć, muszę bez niej wygrać bitwę.

O godzinie 10 wieczorem przyjeżdża na koniu Murat, który bił się od godziny 6 rano, donosząc, że nieprzyjaciel w nieładzie przechodzi rzekę Moskwę i zanoszą się na to, że znowu umknie. Raz jeszcze domaga się gwardii, która przez cały czas stoi beczynnym, by ścigać Moskale i do reszty ich pobić. Napoleon jednak i tym razem odmawia, pozwalając uciec armii rosyjskiej, którą przedtem tak długo tropił. Nazajutrz Moskale przepadli z kretelem, Napoleon zaś zapanował niepodzielnie nad najstraszliwszym pobożowiskiem, jakie może istniało odkąd świat powstał. Leżało na nim 60 000 trupów, z tego trzecia część Francuzów. Dziewięciu naszych generałów poległo, 34 zostało rannych. Niezmierzone były nasze straty, którym w dodatku nie odpowiadały żadne realne sukcesy.

Dnia 14 września armia wkroczyła do Moskwy. W wojnie tej jednak wszystko miało być ponure, nie wyłączając naszych triumfów. Żołnierze nasi przywykli wkraczać do miast stołecznych, a nie do miast umarłych. Moskwa zaś wydawała się niezmiernym grobem, wszędzie było pusto i głucho. Napoleon zamieszkał na Kremlu, armia zaś rozprzestrzeniła się po mieście. A tymczasem nadciągnęła noc.

O północy obudził Napoleona alarm ogniowy. Krwawe łuny dosięgały niemal jego łoża. Cesarz pobiegł do okna: Moskwa stała w płomieniach. Szlachetny Herostates–Rostopczyn uwieńczył swe nazwisko, a zarazem ocalił ojczyznę.

Trzeba było uciekać przed tym oceanem płomieni. Dnia 16 września Napoleon, otoczony zewsząd pożarem i zgliszczami, zmuszony był opuścić Kreml i szukać schronienia w zamku Petrowskiej. Tu rozpoczęła się jego walka z generałami, którzy doradzali wycofać się póki czas i zaprzestać dalszych zdobyczy przynoszących nieszczęście. Napoleon, nie przywykły do tego rodzaju rozumowania, zachwiał się na chwilę, zwracając wzrok na przemian w stronę Paryża i Petersburga. Tylko 150 godzin dzieliło go od pierwszej stolicy, 800 godzin zaś od drugiej. Pomaszerować na Petersburg – znaczyłoby zadokumentować zwycięstwo, nakazać odwrót do Paryża – byłoby przyznaniem się do klęski.

A tymczasem nadciąga zima, która już nie doradza, lecz nakazuje. Dnia 15 października zaczyna się przewożenie rannych przez Możajsk i Smoleńsk, 22 zaś Napoleon opuszcza Moskwę. Nazajutrz Kreml wylatuje w powietrze. Przez jedenaście dni odwrót postępuje bez szczególnych wypadków, gdy naraz 7 listopada spada temperatura z pięciu na osiemnaście stopni poniżej zera, 29 zaś depesza wojenna z 14 października przynosi do Paryża wieść o niesłychanej, straszliwej zgrozie, której Francuzi nie daliby wiary, gdyby szczegółów jej nie podał sam cesarz.

Odtąd zaczyna się nieszczęście przyćmiewające blask naszych największych zwycięstw. Przypomina się Kambyzes grzęznący w piaskach pustynnych, Kserkses uciekający na barce przez Hellespont, Varro prowadzący niedobitki armii po bitwie pod Kannami do Rzymu. Spośród 80 000 konnicy, która przeprowała się przez Niemen, dadzą się utworzyć zaledwie cztery kompanie, każda po 150 koni, które mają służyć Napoleonowi za eskortę. Oto jest święta gromada. Oficerowie przyjmują w niej rangę szeregowców, pułkownicy są podoficerami, generałowie kapitanami; marszałka ma za pułkownika, króla – za generała. Klejnot zaś drogocenny, który im został powierzony, którego strzegą to cesarz.

Jeśli zaś pragniecie wiedzieć, co stało się z resztą armii w tych niezmiernych stepach między niebem a śniegiem, który im na głowy padał, na jeziorach okrytych lodową powłoką, załamującą się pod ich stopami, słuchajcie:

„Generałowie, oficerowie i żołnierze – wszystko to maszeruje obok siebie gromadnie i w zamieszaniu, nadmiar niedoli bowiem zatarł wszystkie rangi. Konnica, artyleria i piechota stanowiły jedną zmieszaną masę.

Przeważająca część żołnierzy dźwigała na plecach worki z mąką, u boku zaś mieli przywiązane na sznurze miski. Inni wlekli za cugle cienie koni, obładowanych naczyniami do gotowania i innymi sprzętami biedoty. Konie te były same zapasami żywności i to o tyle lepszymi, że nie trzeba ich było dźwigać, kiedy zaś padały, można było natychmiast przyrzadzić jedzenie. By je rozkawałkować, nie czekano nawet, aż biedne stworzenia wydadzą ostatnie tchnienie. Zaledwie padały na ziemię, natychmiast rzucono się na nie, by ściągnąć z nich wszystkie mięsiste części.

Należy – o ile to możliwe – wyobrazić sobie tych 100000 biedaków dźwigających na plecach ciężkie wory, wspartych na długich kijach, tych nieszczęśliwców odzianych w łachmany, w których roiło się robactwo, wydanych na pastwę okropności głodu. Trzeba uprzytomnić sobie prócz tych stad ludzkich, które same już były obrazem nędzy i rozpacz, także twarze, na których malowało się widmo tyłu przeżytych cierpień. Uzmysłować sobie trzeba postacie ludzkie, okryte błotem obozowisk, oczernione dymem, twarze o pustych, wygasłych oczach, włosach rozwichrzonych, o długich, cuchnących brodach. A jednak będzie się miało tylko cień obrazu, który armia ta w istocie przedstawiała.

Wlekleśmy się z trudem pozostawieni sobie samym, wśród pustkowi śnieżnych, po ledwie dostrzegalnych drogach, przez stopy i nie kończące się świerkowe lasy. Tu padali nieszczęśliwi, których od dawna już morzyła choroba i głód, kończąc wśród piekielnych mąk i straszliwej rozpacz. Ówdzie rzucono się z wściekłością na kogoś, kogo posadzano o ukrywanie zapasów żywności, wydzierając mu je mimo zacieklego oporu i potwornych przekleństw. Gdziekolwiek słychać było odgłos tratowanych przez stopy końskie lub miażdżonych kołami wozów zwłok ludzkich. Tam znów dochodziły krzyki i jęki padających z wyczerpania ofiar, które leżąc na ziemi ostatnim wysiłkiem woli broniły się od strasznej śmierci, i w oczekiwaniu zgonu podwójnie umierały. Gdzie indziej walczone o każdy kęs padliny końskiej. Podczas gdy jedni wykrawali zewnętrzne kawały mięsa, inni zakopywali się po pas we wnętrzościach, by wydrzeć z nich serce lub wątrobę. Zewsząd widać było twarze z wyrazem nieszczęścia, oblicza zniekształcone, opuchnięte od mrozu. Jednym słowem wszędzie przerażenie i trwoga, kłęska głodu i śmierci”.³

³ Opis jednego z uczestników wyprawy, Rene Bourgeoisa.

W ten sposób minęło dwadzieścia dni. Przez ten czas armia pozostawiła na swych szlakach 200000 ludzi i armat. Potem dopiero wpadła do Berezyny jak potok leśny wpadający w przepaść.

Dnia 5 grudnia, gdy resztki armii dogorywały w Wilnie, Napoleon na natarczywe prośby króla Neapolu, wicekróla Italii i swych najwybitniejszych dowódców wyjechał na saniach przez Smorgonie do Francji. Termometr opadł wtedy do 27 stopni poniżej zera. Dnia 18 grudnia wieczorem przybył Napoleon przed bramy Tuileries, których zrazu nie chciano otworzyć, wszyscy bowiem przypuszczali, że cesarz znajduje się jeszcze w Wilnie. Na trzeci dzień dopiero zjawili się przedstawiciele najwyższych instytucji państwowych celem złożenia życzeń z okazji powrotu cesarza.

Dnia 12 stycznia 1813 r. Senat oddał do dyspozycji ministra wojny 350 000 rekrutów; 10 marca nadeszła wiadomość o oderwaniu się Prus. Przez cztery miesiące Francja była jednym wielkim placem broni.

Dnia 15 kwietnia Napoleon raz jeszcze opuszcza Paryż na czele młodych legionów. Pierwszego maja cesarz stanął w Lützen gotów do zaatakowania sprzymierzonej armii rosyjsko-pruskiej. Miał pod swoim dowództwem 200000 Francuzów i 50000 żołnierzy saskich, bawarskich, westfalskich i wirtemberskich, którzy znowu zaciągnęli się pod jego sztandary. Olbrzym, którego uważano za zmiażdżonego, znow się podniósł. Anteusz obdarzony został przez matkę-ziemię nowymi siłami.

Jak zwykle, pierwsze uderzenia były groźne i decydujące. Armie sprzymierzone pozostawiły na pobojowisku pod Lützen 13 000 zabitych lub rannych; 2 000 jeńców wpadło w nasze ręce. Młodzi rekruci już w pierwszej bitwie zdobyli ostrogi weteranów, Napoleon zaś narażał swe życie jak młody podporucznik.

Zwycięstwo pod Lützen ponownie otwiera królowi saskiemu bramy Drezna. Dnia 8 maja wkracza do miasta armia francuska, nazajutrz zaś cesarz każe wybudować most na Łabie, poza którą wycofał się nieprzyjaciel. 20 maja dosięga go Napoleon i zmusza do kapitulacji w twierdzy budziszynskiej. 21 utrwała zwycięstwo odniesione dnia poprzedniego, w obu zaś dniach, w których Napoleon przeprowadza najzręczniejszy manewr sztuki wojennej. Moskale i Prusacy tracą 18 000 zabitych i rannych oraz 3 000 jeńców.

Nazajutrz w czasie niefortunnej utarczki tylnej straży kula armatnia urywa generałowi Bruyère obie nogi; od tej samej kuli giną też dwaj inni generałowie.

Armia sprzymierzona znajduje się w ustawicznym odwrocie. Napoleon ściga ją, nie dając jej ani chwili wytchnienia. Gdzie wczoraj obozowała, tam dziś my rozbijamy obóz.

Dnia 29 maja zjawili się hrabia Suwałow, adiutant cara rosyjskiego i generał pruski Kleist, by prosić o zawieszenie broni. Dnia 30 maja dochodzi do skutku nowe spotkanie na zamku w Legnicy, które jednak nie przynosi rezultatów.

Tymczasem zaś Austria knuje już skryte plany, jakby tu sprzeniewierzyć się sojuszowi. By możliwie jak najdłużej zapewnić sobie neutralność, zaofiarowała się na pośrednika w rokowaniach, co zostało przyjęte. Wynikiem tego pośrednictwa było zawieszenie broni zawarte 4 czerwca w Plüswitz.

Natychmiast w Pradze zebrał się kongres, by prowadzić układy pokojowe. Pokój jednak był niemożliwy. Koalicja żądała ograniczenia cesarstwa do granic Renu, Alp i Mozy, które to propozycje Napoleon uważał za kpiny. Rokowania zostały zerwane, Austria przeszła na stronę koalicji, wojna zaś, która jedynie mogła doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia, rozgorzała na nowo.

Znow przeciwnicy ukazują się na polu bitwy. Francuzi mieli 300 000 ludzi, w tej liczbie 40 000 kawalerii, na prawym brzegu Łaby, w samym sercu Saksonii. Sprzymierzeńcy zaś liczyli 500000 ludzi, włączając w to 100000 konnicy, tak iż natychmiast mogli zwrócić się równocześnie w trzech kierunkach: w stronę Berlina, Śląska i Czech.

Nie dając się zmylić z tropu znaczną przewagą sił nieprzyjacielskich, Napoleon z

błyskawiczną szybkością rozpoczyna ofensywę. Dzieli w tym celu armię na trzy części: jedna ma pomaszerować na Berlin i prowadzić działania wojenne przeciwko Prusakom i Szwedom, druga ma zająć stanowisko pod Dreznem, by móc obserwować armię rosyjską w Czechach, na czele trzeciej zaś maszeruje sam przeciw Blücherowi, którego dosięga i odrzuca w tył. Jednak w trakcie ścigania nieprzyjaciela Napoleon dowiaduje się, że 60000 Francuzów, których zostawił w Dreźnie, zostało zaatakowanych przez 180000 sprzymierzonych. Bierze tedy ze swego korpusu 35000 ludzi i podczas gdy koalicja przypuszcza, że zajęty jest ściganiem Blüchera, zbliża się z błyskawiczną szybkością groźny i złowrogi jak błyskawica.

Dnia 29 sierpnia wojska sprzymierzone raz jeszcze próbują ataku na Drezno, atak jednak zostaje odparty. Nazajutrz ponawiają szturm, zostają jednak złamani, rozdarci i zniszczeni. Całej armii, walczącej na oczach cara Aleksandra, grozi za chwilę zupełne rozbitcie. Z trudem tylko nieprzyjaciel zdołał się uratować, zostawiając na pobojowisku 40 000 poległych.

W tej bitwie Moreau stracił obie nogi od jednej z pierwszych kul wystrzelonych przez gwardię cesarską. Napoleon sam wycelował działa.

W kilka dni po tej morderczej walce zgłasza się w Dreźnie austriacki agent, przynosząc słowa przyjaźni. Jednak w toku pierwszych rokowań nadchodzi wieść, że armia śląska, która zajęta była ściganiem Blüchera, straciła 25 000 ludzi, że armia wysłana na Berlin pobita została przez Bernadotte'a, że wreszcie cały niemal korpus generała Vandamme'a został zmuszony do odwrotu przez przeważające siły rosyjsko-austriackie.

Tak tedy rozpoczęła się słynna kampania roku 1814, kiedy to Napoleon wszędzie zwycięża, ilekroć sam się zjawi, i wszędzie doznaje klęski, gdzie nie ma go osobiście. Na wieść o porażkach armii francuskiej rokowania zostają przerwane.

Zaledwie wyleczył się z choroby, której przyczyny dopatrywano się w truciznie, maszeruje Napoleon natychmiast na Magdeburg. Zamierza stąd skoczyć do Berlina, który pragnie odzyskać, przeprawiwszy się przez Łabę. Już kilka korpusów doszło do Wittenbergu, gdy wtem nadchodzi list króla wirtemburskiego, donoszący o oderwaniu się Bawarii, która bez wypowiedzenia wojny przeszła na stronę austriacką i połączyła się z wojskami austriackimi nad Innem, oraz że 80 000 ludzi pod rozkazami generała Wrede maszeruje na Ren, a wreszcie że Wirtembergia, choć nadal wierna sojuszowi, zmuszona została przemocą kontyngent swój przyłączyć do tej armii. W ciągu 14 dni stanie w Moguncji 100000 ludzi.

Austria dała przykład sprzeniewierzenia się, gorliwie teraz naśladowany.

Tym samym w ciągu jednej godziny zmieniły się plany Napoleona, przemyślane w ciągu dwóch miesięcy. Zamiast pod osłoną fortec i magazynów w Targau, Magdeburgu, Wittenbergu i Hamburgu zmusić sprzymierzonych do odwrotu między Łabą a Sałą, zamiast rozegrać wojnę między Łabą a Odrą, gdzie w ręku wojsk francuskich znalazły się Głogów, Kostrzyń i Szczecin – Napoleon decyduje się na odwrót ku Renowi. Przedtem jednak musi pobić koalicję, by uniemożliwić jej ściganie go podczas odwrotu. Zamiast więc uciekać przed wojskami sprzymierzonymi, wyrusza przeciwko nim i dosięga ich 16 października pod Lipskiem. Znow więc stają naprzeciwko siebie Francuzi i wojska sprzymierzone – Francuzi w sile 150000 żołnierzy i 600 armat, sprzymierzeni zaś w sile 350000 ludzi i podwójnie liczniejszej artylerii.

Jeszcze tego samego dnia dochodzi do ośmiogodzinnej walki. Armia francuska wychodzi zwycięsko, korpus jednak, oczekiwany z Drezna dla przypiecztowania klęski nieprzyjaciół, nie zjawia się. Mimo to spędzamy noc na pobojowisku.

Dnia 17 października Moskale i Austriacy otrzymują posiłki, nazajutrz zaś przypuszczają szturm na nasze pozycje. Przez cztery godziny Francuzi dzielnie bronią się, gdy nagle 30 000 żołnierzy saskich, zajmujących jedno z najważniejszych stanowisk na linii bojowej, przechodzi na stronę nieprzyjacielską, zwracając ku nam 60 armat. Już się zdawało, że wszystko stracone, tak niesłychana jest ta zdrada, tak straszliwa jest zmiana sytuacji.

Napoleon spieszy z pomocą na czele połowy swej gwardii, rzuca się na wojska saskie,

które odpędza w tył, odbierając im część artylerii. Teraz rozgramia ich za pomocą armat, które sami naładowali. Sprzymierzeni cofają się, utraciwszy w tych dwóch dniach 150 000 najlepszych żołnierzy. I tę noc spędzamy na pobojowisku.

W tych warunkach zapowiadała się pomyślnie trzecia bitwa, gdy doniesiono Napoleonowi, że amunicji starczy jeszcze najwyżej na 16000 wystrzałów, w obu bowiem ostatnich bitwach wystrzelono 222000 pocisków. Trzeba tedy pomyśleć o odwrocie. Sukces obu zwycięstw poszedł na marne. 50 000 ludzi poświęcono nadaremnie.

O godzinie drugiej zaczyna się odwrót w kierunku Lipska. Armia nasza zamierza wycofać się za Elsterę, by pozostać w kontakcie z Erfurtem, gdzie oczekiwana jest amunicja. Odwrót jednak przeprowadzony został nie dość skrycie, by nie miała go zauważyć armia koalicyjna. Zrazu sprzymierzeni przypuszczają, że nasi rozpoczynają atak, rychło jednak dowiadują się prawdy. Zwycięskie wojska francuskie cofają się, koalicja zaś, nie wiedząc nawet dlaczego, wykorzystuje ich odwrót. O świcie sprzymierzeni atakują nasze tylne straże, wkraczając wraz z nimi do Lipska. Żołnierze nasi odwracają się, stawiają opór nieprzyjacielowi, walcząc krok za krokiem, by umożliwić armii przejście przez jedyny most na Elsterze, przez który odwrót może się dokonać. Nagle rozlega się straszliwa detonacja. Okazuje się, że pewien sierżant wysadził bez rozkazu przełożonego most w powietrze. 40000 Francuzów, ściganych przez 200 000 Moskali i Austriaków, oddzielonych jest rwącym nurtem rzeki od reszty armii. Muszą oni albo poddać się, albo też dać się wyrzucić w pień. Część tonie w nurtach rzeki, część zaś pogrzebana zostaje w gruzach przedmieścia Ranstadt.

Dnia 20 października armia francuska dochodzi do Weissenfels, zaczynając dopiero tutaj uświadamiać sobie rozmiary poniesionych strat. Książę Poniatowski, generałowie Vial, Dumontier i Rochanebeau utonęli lub polegli, księżę Moskwy i Raguzy, generałowie Souham, Compans, Latour-Maubourg i Friedrichs zostali ranni, książę Darmstadt, hrabia Hochberg, generałowie Lauriston, Delmas, Roźniecki, Krasieński, Valory, Bertrand, Dorsenne, d'Etzko, Colomy, Bronikowski, Siwowiec, Małachowski, Rautenstrauch i Stockhorn zostali wzięci do niewoli. Straciliśmy w Elsterze i na przedmieściach Lipska 10000 poległych, 15000 jeńców, 150 dział i 500 wozów z amunicją.

Dnia 28 października Napoleon otrzymuje dokładne wiadomości o ruchach armii austriacko-bawarskiej, która w pospiesznych marszach podeszła pod Men. Dnia 30 nieprzyjaciel stoi w ordynku bojowym w Hanau, by zamknąć nam drogę do Frankfurtu. Armia francuska atakuje go, kładzie trupem 6 000 ludzi i przeprawia się 5, 6 i 7 listopada na drugą stronę Renu.

Dnia 9 listopada Napoleon znów jest w Paryżu.

Tutaj dosięga go zdrada po zdradzie, rozprzestrzeniając się od zewnątrz coraz bardziej do wewnątrz. Po Rosji odpadają Niemcy, po Niemczech Włochy, po Włoszech Francja.

Bitwa pod Hanau dała asumpt do nowych konferencji. We Frankfurcie zeszli się baron de St. Aignan, książę Metternich, hrabia Nesselrode i lord Aberdeen. Zaofiarowano Napoleonowi pokój pod warunkiem, że zrezygnuje ze Związku Reńskiego i zrzeknie się Polski, jak też departamentów nad Łabą. Francja miałaby ograniczyć się do swych granic naturalnych: Alp i Renu. Obiecywano także wyznaczyć granicę we Włoszech, która by nas oddzielała od Austrii.

Napoleon przystał na te warunki, polecając zarazem przedłożyć Senatowi i ciału ustawodawczemu protokoły rokowań z uwagą, że gotów jest ponieść żądane ofiary. Parlament, który miał żal do Napoleona, iż narzucił mu przewodniczącego bez porozumienia się co do kandydatury, ustanowił komisję pięciu dla zbadania tych protokołów. Tych pięciu sprawozdawców, którzy znani byli z opozycji przeciw cesarzowi, ułożyło memoriał, w którym ponownie zastosowane zostało zapomniane od jedenastu lat słowo „Wolność”. Napoleon zniszczył sprawozdanie komisji i rozwiązał parlament. Tymczasem zaś – wbrew wszystkim złudnym protokołom – wyszły na jaw właściwe zamiary władców koalicji.

Podobnie jak w Pradze, tak też i tutaj przede wszystkim chcieli zyskać na czasie, znów tedy zerwali konferencję, zwodząc nadzieją rychłego zwołania kongresu do Matillon nad Sekwaną. Było w tym wyzwanie, a jednocześnie szyderstwo. Napoleon przyjął pierwsze, a zarazem zaczął zbroić się, by pomścić drugie. Dnia 25 stycznia 1814 r. cesarz opuszcza Paryż, pozostawiając małżonkę i syna pod opieką oficerów Gwardii Narodowej.

Cesarstwo zaatakowane zostało na wszystkich jego krańcach. Austriacy wdarli się do Włoch, Anglicy przekroczyli rzekę Bidasson i zjawili się na grzebieniu pirenejskim, Schwarzenberg wkroczył na czele wielkiej armii, liczącej 150000 ludzi, przez Szwajcarię, Blücher zajął Frankfurt, mając u boku 130 000 Prusaków; Bernadotte na czele 100 000 Szwedów i Sasów zagarnął Holandię, a następnie Belgię. 700000 żołnierzy, zaprawionych do walki dzięki swym klęskom w wielkiej napoleońskiej szkole wojennej, maszerowało, omijając wszystkie twierdze, przeciwko sercu Francji z jednym hasłem na ustach: Paryż! Paryż!

Napoleon stoi samotny, mając zwrócony przeciwko sobie cały świat. Niezliczonym masom wroga zdołał przeciwstawić zaledwie 150000 ludzi. Odnalazł jednak jeśli nie zaufanie, to przynajmniej geniusz lat młodzieńczych. Kampania roku 1814 miała być arcydziełem jego sztuki strategicznej.

Jednym spojrzeniem ogarnął wszystko, wszystko przejrzał, o ile to leży w mocy jednego człowieka, o wszystko się troszczył. Maison otrzymuje rozkaz zatrzymania Bernadotte'a w Belgii, Augereau ma wyruszyć przeciwko Austriakom do Lyonu, Soult ma zatrzymać Anglików za Loarą, Eugeniusz ma bronić Italii. Sam zaś bierze na siebie Blüchera i Schwarzenberga.

Rzuca się też między nich obu na czele 60000 ludzi, rozgromia Blüchera pod Champaubert, Montmirail, pod Château-Thierry i Montereau. W ciągu dziesięciu dni Napoleon odnosi pięć zwycięstw, straty sprzymierzonych zaś wynoszą 90 000 ludzi.

Teraz nawiązane zostają nowe rokowania w Châtillon nad Sekwaną, koalicja jednak stawia coraz to bardziej wygórowane żądania, proponując warunki nie nadające się do przyjęcia. Francja nie tylko ma zrzec się zdobyczy Napoleona, lecz granice republiki mają ustąpić miejsca granicom dawnej monarchii.

Napoleon odpowiada jednym z owych lwich skoków, które leżały w jego naturze. Przerzuca się z Mery nad Sekwaną do Craonne, z Craonne do Rheims, z Rheims do St. Dizier. Gdzie tylko napotyka na wroga, zmusza go do ucieczki, rzuca się za nim w pościg, rozgromia go. Nieprzyjaciel jednak znów łączy się na tyłach i choć stale zwyciężany, jednak idzie naprzód.

Gdzie nie ma Napoleona, tam daje się we znaki brak jego szczęśliwej ręki. Anglicy wkroczyli do Bordeaux, Austriacy zagarnęli Lyon, zjednoczona z niedobitkami wojsk Blücherowskich armia belgijska ukazuje się znowu na jego tyłach. Generałowie napoleońscy stracili energię, są zmęczeni i osłabieni. Obwieszani orderami, przytłoczeni lśniącymi tytułami, obsypani złotem, nie chcą się więcej bić. Ponure te oznaki nie uchodzą uwagi Napoleona. Czuje on, że mimo wysiłków Francja wymyka mu się z rąk. Nie mając nadziei na ugruntowanie swego tronu we Francji, pragnie przynajmniej mieć tam swój grób. W tym celu czyni wszelkie możliwe starania pod Arcis, Aube i St. Dizier, by paść od kuli nieprzyjacielskiej... Jednak wszystkie wysiłki są daremne: kule nie mają się go.

Dnia 29 marca donoszą cesarzowi w Troyes, gdzie ścigał armię Winzingerode'a, że Prusacy i Moskale w zwartych kolumnach maszerują na Paryż.

Natychmiast wyrusza w drogę i staje 1 kwietnia w Fontainebleau, gdzie dowiaduje się, że dnia poprzedniego o godzinie 5 po południu poddał się Marmont, koalicja zaś od rana obsadza stolicę.

Cesarzowi pozostały trzy drogi.

Ma jeszcze pod swymi rozkazami 50 000 żołnierzy, najwaleczniejszych i najbardziej

oddanych na świecie. By zapewnić sobie ich wierność, wystarczyłoby tylko zastąpić starych generałów, nie mających już nic do stracenia, młodymi pułkownikami, przed którymi świat stoi otworem. Na jego wciąż jeszcze potężne wezwanie mógłby cały naród chwycić za broń, wtedy jednak Paryż padłby ofiarą. Koalicja bowiem puściłaby go z dymem podczas odwrotu. Tego środka ratunku mogli się chwycić tylko Moskale.

Było też inne wyjście: odzyskać Włochy przez ściągnięcie armii generałów Augereau i Greniera oraz marszałków Sucheta i Soult. Wyjście to jednak nie wróżyło powodzenia. Francja pozostawała wszak pod okupacją wroga, z czego wywiązać się mogły największe nieszczęścia.

Pozostawała wreszcie trzecia możliwość: wycofać się za Loarę i prowadzić wojnę partyzancką.

W tym niezdecydowaniu przyszło mu z pomocą oświadczenie sprzymierzonych opiewające, iż cesarz Napoleon jest jedyną zawadą powszechnego pokoju.

Oświadczenie pozostawiało mu tylko dwie drogi: śladem Hannibala pozbawić się życia lub jak Sulla zstąpić z tronu.

Krąży wieści, że próbował pierwszej drogi. Trucizna Cabanisa okazała się jednak bezsilna.

Zdecydował się tedy na drugą. Na zaginionym dziś świstku papieru wypisał najdonioślejsze linie, jakie kiedykolwiek ręka ludzka zakresliła:

„Jako że mocarstwa sprzymierzone obwieściły, iż cesarz Napoleon jest jedyną przeszkodą w przywróceniu pokoju w Europie, oświadcza cesarz Napoleon, wierny przysiędze, iż zrzeka się dla siebie, jak też i dziedziców swoich tronu Francji i Italii. Nie ma bowiem żadnej ofiary osobistej, nie wyłączając ofiary życia, której by nie był gotów złożyć na ołtarzu Francji”.

Przez rok cały świat wydawał się jakby osierocony.

NAPOLEON NA ELBIE

Napoleon był królem wyspy Elby.

Utraciwszy władztwo świata, nie chciał zrazu zachować nic ponad własną niedolę. „Talar na wydatki dzienne – rzekł – i koń – oto wszystko, czego mi trzeba”. Zamiast tedy wybrać Italię, Toskanię, Korsykę, upodobał sobie mały zakątek ziemi, gdzie go znów znajdujemy, i to tylko na natarczywe prośby otoczenia.

Zaniedbując swe własne sprawy, stacza długie boje o prawa osób towarzyszących mu w drodze. Świtę cesarza tworzyli generałowie Bertrand i Drouot, pierwszy jako wielki marszałek dworu, drugi jako adiutant cesarza, generał Cambronne, dowódca pierwszego pułku strzelców gwardii, dalej major lansjerów polskich Jerzmanowski, kapitanowie artylerii Cornuel i Raoul, kapitanowie piechoty Loubers, Lamourette, Hureau i Combi, a wreszcie kapitanowie polskich lansjerów Baliński i Szulc.

Oficerowie ci mieli pod swymi rozkazami 400 doborowych grenadierów i strzelców starej gwardii, którzy uzyskali zezwolenie towarzyszenia swemu cesarzowi na wygnanie. Na wypadek powrotu do Francji zastrzegł Napoleon, iż mają być uszanowane ich prawa obywatelskie.

Dnia 13 maja 1814 r. około godziny 6 wieczorem fregata „The Undaunted” zarzuciła kotwicę w porcie Portoferraio. Generał Dalesme, sprawujący na wyspie władzę w imieniu Francji udał się bezwzględnie na pokład, by z najwyższym uszanowaniem powitać Napoleona.

Hrabia Drouot, mianowany gubernatorem wyspy, udał się na ląd, by przejąć forty miasta. Towarzyszy mu baron Jerzmanowski, który ma objąć stanowisko komendanta placu, podczas gdy pan Baillon, jako zarządca pałacu, zatroszczy się o rezydencję Jego Cesarskiej Mości.

Jeszcze tego samego wieczoru udali się przedstawiciele władz, duchowieństwa i ludności na pokład fregaty, gdzie przyjęci zostali przez cesarza. Nazajutrz rano oddział wojska zaniósł do miasta sztandar z nowym herbem, który wybrał sobie cesarz. Był to herb wyspy, przedstawiający na srebrnym polu z czerwoną obwódką trzy złote pszczoły. Sztandar ten wywieszony został na forcie „Etoile” wśród powitalnych strzałów armatnich. Powitała go również angielska fregata, jako też wszystkie okręty znajdujące się w porcie.

Okolo godziny drugiej Napoleon wraz z orszakiem zstąpił na ląd. W chwili gdy jego stopa dotknęła lądu, powitało cesarza 101 wystrzałów armatnich, na co fregata angielska odpowiedziała 24 strzałami i okrzykiem „Niech żyje”.

Cesarz ubrany był w mundur pułkownika strzelców konnych gwardii. Trójkolorową kokardę na kapeluszu zamienił na biało-czerwoną kokardę wyspy. Przed wkroczeniem do miasta został powitany przez władze, duchowieństwo i najwybitniejszych obywateli z burmistrzem na czele, który wręczył cesarzowi klucze miasta Portoferraio. Wojska garnizonu stały pod bronią, tworząc szpaler. Za nimi tłoczyła się cała ludność nie tylko stolicy, lecz i innych miast i wsi, przybyła z wszystkich krańców wyspy. Ludzie ci nie mogli uwierzyć, że oto oni, biedni rybacy, mają mieć za króla męża, którego władza, nazwisko i czyny ogarniały świat. Napoleon był wesoly, przyjaźnie uśmiechnięty, niemal ogarniała go radość.

Cesarz odpowiedział na przemówienie burmistrza, po czym udał się wraz z orszakiem do

katedry, w której odśpiewano „Te Deum”. Po opuszczeniu kościoła orszak cesarski skierował się ku ratuszowi, który przeznaczony był na tymczasową rezydencję. Wieczorem miasto i port zostały przez mieszkańców spontanicznie iluminowane.

Napoleon nie mógł długo pozostać beczynny. Po załatwieniu wszystkich spraw związanych z objęciem władzy, cesarz objeżdża konno wszystkie części wyspy, którą szczegółowo zwiedza. Pragnie bowiem naocznie przekonać się o stanie uprawy roli i zapoznać z tym wszystkim, co w mniejszym lub większym stopniu przynosiło zyski mieszkańcom wyspy, jak handel, rybołówstwo, eksploatacja marmuru i metali. Ze szczególną uwagą zaznajomił się ze stanem kamieniołomów i kopalń stanowiących główne bogactwo wyspy.

Po zwiedzeniu całej wyspy i okazaniu ludności dowodów swej opieki i troskliwości, Napoleon wraca do Portoferraio, gdzie z kolei przystępuje do zorganizowania dworu i pokrycia najpilniejszych potrzeb z dochodów publicznych. Dochody te płynęły z kopalń żelaza, które mogły przynieść milion dochodu rocznego, z rybołówstwa, które wydzierżawione zostało za pół miliona franków, z salin mogących przynieść tyle samo, wreszcie z podatków gruntowych i kilku ceł. Wszystkie te dochody, obok dwóch milionów, które cesarz zastrzegł dla siebie, mogły mu przynosić rocznie cztery i pół miliona. Napoleon często mawiał, że nigdy nie był takim bogaczem jak wówczas.

Z ratusza cesarz przeniósł się do pięknego mieszkania, które nazwał uroczyście swoim pałacem. Domek położony był na szczycie skały, w bastionie nazwanym „bastionem młyńskim”, składał się zaś z dwóch pawilonów i budynku głównego, łączącego je. Z okien rozpościerał się widok na całe miasto i port, widoczne tak dokładnie, że nic nie mogło ująć uwagi pana wysepki.

Po upływie sześciu tygodni przybyła na wyspę cesarzowa-matka, w kilka dni potem zaś zjawiła się księżniczka Paulina.

Nietrudno się domyślić, że Napoleon oderwany od ustawicznej pracy i zmuszony do całkowicie spokojnego trybu życia, odczuwał potrzebę stworzenia sobie regularnego zajęcia. Ułożył więc dokładny rozkład dnia, którego ściśle przestrzegał. Wstawał o świcie, po czym zamykał się w bibliotece, w której pracował do godziny 8 rano nad swymi pamiętnikami wojennymi. Następnie udawał się na miasto, by przyjrzeć się robotom publicznym i zamienić kilka słów z robotnikami, którymi byli żołnierze gwardii cesarskiej. O godzinie 11 spożywał bardzo skromne śniadanie. Podczas największych upałów, gdy wiele chodził lub pracował, zasypiał po śniadaniu. Regularnie o godzinie 13 odbywał dłuższe spacery konno lub powozem w towarzystwie wielkiego marszałka Bertranda i generała Drouota. Po drodze wysłuchiwał wszelkich prośb, z którymi można się było wtedy do niego zwracać; nigdy żaden z petentów nie odchodził niezadowolony. O godzinie 7 wracał, zasiadając do obiadu razem z siostrą, zajmującą pierwsze piętro rezydencji. Często też zapraszał na obiad czy to intendenta wyspy, czy to szambelana Vantiniego, czy też mera gminy Portoferraio lub kapitana Gwardii Narodowej.

Z biegiem czasu Elba stała się celem podróży wszystkich ciekawych w Europie, rychło też natłok obcych był tak wielki, że musiano przedsięwziąć środki dla uniknięcia pewnych przykrości, związanych z tak dużą liczbą obcych, wśród których nie brak było awanturników próbujących szczęścia. Po niejakiem czasie nie starczyło już produktów wyrabianych na miejscu, trzeba więc było sprowadzać środki żywności z kontynentu, dzięki czemu wzrastał się handel w Portoferraio, a przez to i ogólny dobrobyt.

Wśród obcych przybyszów przeważali Anglicy, którym widocznie ogromnie zależało, by widzieć i słyszeć cesarza. Napoleon ze swej strony przyjmował ich niezwykle uprzejmie. Lord Bentinck, lord Douglas i kilku innych panów z wysokiej szlachty angielskiej wynieśli jak najlepsze wspomnienia z wizyty u cesarza i ze sposobu, w jaki zostali przyjęci.

Spośród wszystkich wizyt, jakie cesarz przyjmował, najmilsze dla niego były odwiedziny

licznych oficerów różnych narodowości, Włochów, Francuzów, Polaków, Niemców, którzy ofiarowali mu swe usługi. Napoleon odpowiadał, że nie posiada żadnych wolnych stanowisk ani rang, które by mógł rozdzielać. – „Zgoda, chcemy służyć jako szeregowcy!” – odpowiadali. I zawsze niemal przyjmował ich w szeregi swych grenadierów. Te wyrazy uwielbienia najmiłsze były Napoleonowi.

Na dzień 15 sierpnia przypadły urodziny cesarza, obchodzone z radością nie dającą się wyrazić w słowach, co dla Napoleona, przywykłego do oficjalnych uroczystości dworskich, musiało być zjawiskiem zupełnie nowym. Miasto wydało na cześć cesarza i jego gwardii bal, który odbył się w olbrzymim namiocie, wystawionym na obszernym placu. Napoleon polecił zostawić namiot otwarty ze wszystkich stron, by cały lud mógł wziąć udział w zabawie.

Nie do wiary wprost, jak wiele podjęto robót publicznych na wyspie. Plany nakreślili dwaj architekci włoscy, Bargini i Bettarini, za każdym razem jednak cesarz zmieniał ich projekty, kierując się własnym zdaniem, przez co stał się właściwym twórcą i budowniczym. Tak na przykład zmienił bieg kilku rozpoczętych ulic oraz znalazł źródło, którego woda wydawała mu się lepsza od tej, jaką pili mieszkańcy Portoferraio. Doprowadził więc tę wodę do miasta.

Jakkolwiek można było przypuszczać, że Napoleon swym orlim wzrokiem śledził wypadki europejskie, to jednak mogło się zdawać na pozór, że pogodził się z losem. Nikt też nie wątpił, że z biegiem czasu przywyknie do tego trybu życia, otoczony miłością wszystkich, którzy się doń zbliżali. Sprzymierzeni władcy jednak sami postanowili obudzić lwa.

Napoleon bawił już dobrych kilka miesięcy w swym małym państewku, które pragnął upiększyć wszelkimi środkami, jakie mu poddawał jego genialny i twórczy umysł, gdy wtem otrzymał poufne wiadomości, iż toczą się narady w sprawie usunięcia go z wyspy.

Zażądała tego na kongresie wiedeńskim Francja za pośrednictwem pana de Talleyranda, który ustawicznie wskazywał, jakie niebezpieczeństwo zagraża panującej dynastii, gdy Napoleon przebywa tak blisko włoskich i francuskich wybrzeży. Tłumaczył kongresowi, iż Wielki Wygnaniec, jeśli nie zarządzi się natychmiast jego dalszej banicji, w ciągu czterech dni znajdzie się w Neapolu, skąd przy pomocy swego szwagra Murata, sprawującego tam rządu, wtargnie na czele armii do niezadowolonych prowincji górnej Italii, wznieci powstanie i w ten sposób na nowo rozpocznie śmiertelną walkę, którą zaledwie niedawno ukończono.

By zaś usprawiedliwić czymkolwiek jaskrawe naruszenie traktatu podpisanego w Fontainebleau, przedłożono przechwyconą właśnie korespondencję generała Ekscelmanna z królem Neapolu, na podstawie której można by przypuszczać, iż wykryty został spiszek, którego ośrodkiem była wyspa Elba, a który rozgałęziony był na Włochy i Francję. Podejrzenie wzmocniło się, gdy niedługo potem wykryty został spiszek w Mediolanie, w którym uczestniczyło kilku wyższych oficerów dawnej armii włoskiej.

A jednak kongres nie miał odwagi powziąć na tak słabych dowodach opartej uchwały, która by jaskrawo sprzeciwiała się zasadzie umiarkowania, podkreślonej z naciskiem przez sprzymierzonych monarchów. By uniknąć zarzutu pogwałcenia obowiązujących traktatów, kongres postanowił zwrócić się wprost do Napoleona i skłonić go do dobrowolnego opuszczenia Elby, z zastrzeżeniem jednak, że gdyby stawiał opór, użyje się przemocy. Natychmiast też zajęto się wyborem nowego miejsca pobytu cesarza. Ktoś zaproponował Maltę. Anglii jednak pobyt Napoleona na Malcie wydawał się zbyt korzystny dla mego: z banity mógłby jeszcze stać się Wielkim Mistrzem Zakonu. Zaproponowała tedy Wyspę Świętej Heleny.

Napoleon podejrzewał, że jego wrogowie sami szerzyli te pogłoski, by w ten sposób skłonić go do jakiegoś czynu rozpacz, który by pozwolił złamać uczynione mu obietnice. Wysłał tedy bezwzględnie do Wiednia swego agenta, który odznaczał się dyskrecją i sprytem, nader wszystko zaś był cesarzowi szczerze oddany, z poleceniem, by stwierdził, czy wszystkie te wiadomości zasługują na wiarę. Otrzymał on list polecający do księcia Eugeniusza Beauharnais, który bawił wówczas w Wiedniu i był mężem zaufania cara

Aleksandra, musiał zatem wiedzieć, co się działo na kongresie. Agent ów uzyskał natychmiast potrzebne informacje i postarał się, by doszły do wiadomości cesarza. Zorganizował też stałą korespondencję, dzięki której Napoleon stale był informowany o przebiegu kongresu.

Poza korespondencją z Wiedniem Napoleon utrzymywał kontakt z Paryżem, każda zaś wiadomość otrzymywana ze stolicy świadczyła o wzrastającym wzburzeniu przeciwko Burbonom. W tej dwuznacznej sytuacji, która zmuszała Napoleona do decyzji, zaświtała mu pierwsza myśl olbrzymiego przedsięwzięcia, które rychło wykonał.

Wysłał więc do Francji swych kurierów z tajnymi instrukcjami w celu stwierdzenia istotnego stanu rzeczy oraz nawiązania kontaktów z przyjaciółmi, którzy mu pozostali wierni, i generałami, którzy uważali się za najbardziej upośledzonych, najbardziej zatem musieli być niezadowoleni z panujących stosunków.

Posłowie ci po powrocie na wyspę potwierdzili wiadomości, którym Napoleon nie miał odwagi dać wiary. Zapewnili go zarazem, że zarówno wśród ludności, jak i w armii panuje wrzenie, wszyscy zaś niezadowoleni, a tych zliczyć niepodobna, zwracali z tęsknotą wzrok ku niemu, niczego więcej nie pragnąc jak powrotu cesarza. Wybuch jest nieunikniony, Burbonowie zaś nie potrafią już długo utrzymać się wobec ogólnej nienawiści, spowodowanej brakiem doświadczenia i nieostrożnością ich rządu.

Nie miał już żadnych wątpliwości: tutaj groziło niebezpieczeństwo, tam zaś uśmiechała się nadzieja, tu – wieczysta niewola na skalistej wysepce wśród oceanu, tam zaś – władztwo świata!

Napoleon, jak zwykle, zdecydował się błyskawicznie. W niespełna osiem dni wszystko było postanowione. Chodziło jeszcze tylko o przygotowania do olbrzymiego przedsięwzięcia bez wywołania podejrzeń angielskiego komisarza, który od czasu do czasu odwiedzał Elbę i którego nadzorowi podlegał każdy krok uczyniony przez cesarza.

Komisarzem tym był pułkownik Campbell, który towarzyszył cesarzowi w podróży na Elbę. Do jego dyspozycji oddana była fregata angielska, którą stale pływał z Portoferraio do Genui, z Genui do Livorno, z Livorno do Portoferraio. Pobyt pułkownika w miasteczku trwał zazwyczaj 14 dni, podczas których wstępował na ląd, ofiarując pozornie swe usługi cesarzowi.

Trzeba było także zmylić czujność tajnych agentów, którzy mogli znajdować się na wyspie, odwrócić uwagę mieszkańców, krótko mówiąc doskonale zamaskować swe zamiary.

W tym celu Napoleon polecił pilnie kontynuować rozpoczęte roboty, wybudować nowe drogi, które postanowił poprowadzić wzdłuż wyspy, poprawić drogę prowadzącą z Portoferraio do Portocongone, wreszcie z uwagi na brak drzew na wyspie polecił sprowadzić z kontynentu znaczną liczbę morw i zasadzić je po obu stronach gościńca. Z kolei przystąpił do dalszego przebudowania swego pałacu w San Martino. We Włoszech zamówił rzeźby i wazy, zakupił drzewa pomarańczowe i rzadkie rośliny. Jednym słowem starał się wywołać wrażenie, że wszystkie wysiłki zwraca jedynie w tym kierunku, jak gdyby chodziło o rezydencję, w której zamierza mieszkać przez długie lata.

Tymczasem zaś, kontynuując przygotowania swego planu, wysyłał często dwumasztowiec „Inconstant”, który zastrzegł sobie na wyłączną własność, oraz zakupiony przezeń mały stateczek „Etoile” na przejażdżki do Genui, Livorno, Neapolu, nad wybrzeża afrykańskie, a nawet do Francji, by przyzwyczajając do ich widoku angielskie i francuskie krażowniki. W istocie, okręty te pływały pod flagą Elby wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego bez najmniejszej przeszkody z czyjejkolwiek strony. Tego właśnie chciał Napoleon.

Teraz zajął się poważnie przygotowaniem do podróży. Nocą polecił po kryjomu załadować do „Inconstanta” wielką ilość broni i amunicji; polecił też zreperować mundury, bieliznę i obuwie swej gwardii, zwołał żołnierzy polskich znajdujących się w Portocongone i na małej wysepce Pianosa, gdzie trzymali straż nad twierdzą, a wreszcie przyspieszył rekrutację i wyszkolenie batalionów strzeleckich, do których przyjmował wyłącznie ludzi z

Korsyki i Italii. Na początku stycznia wszystko było przygotowane do wykorzystania pierwszej pomyślnej okazji, którą by zwiastowały oczekiwane z Francji wiadomości.

Nareszcie wiadomości te nadeszły. Przywiózł je jeden z pułkowników dawnej armii, który natychmiast wyjechał do Neapolu.

Nieszczęście chciało, że właśnie w tej chwili znajdował się w porcie pułkownik Campbell ze swą fregatą. Napoleon musiał czekać, nie okazywał jednak najmniejszej niecierpliwości i odnosił się do pułkownika ze zwykłą uprzejmością aż do końca jego pobytu na wyspie. Wreszcie, po południu 24 lutego zameldował się pułkownik, by złożyć cesarzowi wyrazy uszanowania, pożegnać się i odebrać zlecenia do Livorno. Napoleon odprowadził go do bramy, służba zaś usłyszała następujące słowa, które cesarz skierował do Campbella: „Bywaj pan zdrow, panie pułkowniku, życzę panu szczęśliwej podróży. Do widzenia!”

Zaledwie pułkownik pożegnał się, Napoleon rozkazał wezwać do siebie wielkiego marszałka, z którym zamknął się w pokoju na część dnia i nocy. O godzinie 3 nad ranem cesarz ułożył się do snu, by już o świcie znowu być na nogach.

Gdy tylko spojrział w stronę portu, spostrzegł, że fregata angielska zamierza odpłynąć. Od tej chwili, jakby magiczną siłą przykuty wzrokiem do żaglowca, nie spuszczał zeń oka. Widział, jak rozpina jeden po drugim wszystkie żagle, jak podnosi kotwicę, rusza z miejsca, jak wypływa z poru przy pomyślnym wietrze południowo-wschodnim i jak pod pełnymi żaglami steruje w stronę Livorno.

Następnie wyszedł z lunetą na taras, obserwując oddalające się okręty. Około południa fregata wydawała się białym punktem na morzu, by o godzinie pierwszej zupełnie zniknąć.

Natychmiast Napoleon wydał rozkazy. Jednym z najważniejszych zarządzeń było zamknięcie wszystkich znajdujących się w porcie okrętów na przeciąg trzech dni. Zarządzeniu temu, które zaraz wykonano, podlegały również najmniejsze stateczki.

Ponieważ „Inconstant” i „Etoile” nie wystarczyły do transportu, wynajęto trzy lub cztery okręty handlowe. Tego samego wieczoru dobito targu i okręty były do dyspozycji cesarza.

W nocy z 25 na 26 lutego, z soboty na niedzielę, zwołał Napoleon swych mężów zaufania i najbardziej poważanych mieszkańców wyspy, z których utworzył rodzaj rady rządzącej. Pułkownik Gwardii Narodowej Capi mianowany został komendantem wyspy. Mieszkańcom wyspy powierzył Napoleon obronę kraju, oddając im też w opiekę swą matkę i siostrę.

Nie wyjawiając szczegółów swego planu, cesarz z góry zapewnił zgromadzonych o powodzeniu; na wypadek wojny przyrzekł przysłać pomoc dla obrony kraju i zapowiedział, by nie oddawali wyspy jakiegokolwiek obcej władzy, chyba że na jego wyraźny rozkaz.

W południe zabrzmiały dźwięki marsza generalskiego.

O godzinie drugiej dano sygnał na zbiórkę. Teraz dopiero Napoleon obwieścił dawnym towarzyszom broni, do jakich czynów są powołani. Kiedy wymienił Francję, wyrażając nadzieję rychłego powrotu do ojczyzny, rozległ się okrzyk uniesienia i zachwytu. Ze łzami w oczach wyłamują się żołnierze z szeregów, padają sobie w ramiona, skaczą z radości, rzucają się cesarzowi do stóp, jakby był Bogiem.

Płacząc łzami wzruszenia, obserwowały tę scenę z okien pałacu cesarzowa-matka i księżniczka Paulina.

O godzinie siódmej ukończono załadowanie okrętów. O godzinie ósmej Napoleon wypłynął z portu na łodzi, w kilka zaś minut potem znalazł się na pokładzie „Inconstanta”. W chwili gdy stopa cesarza dotknęła okrętu, rozległ się strzał armatni. Był to sygnał wyjazdu.

Natychmiast niewielka flotylla rozpięła żagle, po czym pędzona świeżym południowo-zachodnim wiatrem opuściła zatokę, kierując się na północny zachód w pewnej odległości od wybrzeży włoskich. W tejże samej chwili, gdy odpływał Napoleon, odpłynęli też wysłannicy cesarza do Neapolu i Mediolanu, a jeden z wyższych oficerów popłynął na Korsykę, by wzniecić tam powstanie, które by zapewniło cesarzowi schronienie na wypadek niepowodzenia we Francji.

Nazajutrz po wyjeździe, o świcie, udali się wszyscy, na pokład, by obejrzyć drogę, którą przebyli w ciągu nocy. Jakież było jednak zdumienie, a zarazem jaka zgroza ogarnęła wszystkich, gdy zauważono, że flotylla miała za sobą najwyżej sześć mil. Zaledwie minęli Przylądek Świętego Andrzeja, wiatr zaczął słabnąć, po czym na morzu nastąpiła rozpaczliwa cisza.

Gdy słońce rozjaśniło horyzont, po zachodniej stronie u brzegów Korsyki ukazała się francuska flotylla, złożona z dwóch krążowników „Fleur de Lys” i „Melpomene”.

Na ten widok wszystkich ogarnęła nieopisana trwoga, szczególnie wielka na dwumasztowcu „Inconstant”, wiozącym cesarza. Sytuacja wydawała się tak krytyczna i niebezpieczeństwo tak bliskie, że zaczęto rozważać, czy nie należałoby raczej zawrócić do Portoferraio i czekać tam na pomyślny wiatr. Cesarz jednak natychmiast położył kres debatom i niezdecydowaniu, wydając rozkaz nie przerywania jazdy, przewidywał bowiem, że cisza wkrótce ustanie. I rzeczywiście, wiatr jak gdyby był mu uległy, zaczął dać o godzinie 11, tak iż o godzinie 4 znajdowano się na wysokości Livorno, między Capraja a Gorgone.

Teraz jednak flotyllę ogarnął nowy niepokój, poważniejszy jeszcze od poprzedniego. Nagle odkryto na północy, w odległości 5 mil, fregatę, po chwili wynurzyła się druga u wybrzeży korsykańskich, na dobitkę zaś zauważono w oddali trzeci okręt wojenny, szybujący przy pomyślnym wietrze ku naszej flotylli.

Teraz już nie można się było wahać, trzeba było natychmiast coś zdecydować. Nadchodziła noc i można było pod osłoną ciemności wymknąć się fregatom, okręt wojenny jednak zbliżał się coraz bardziej i można go było rozpoznać – był to francuski dwumasztowiec. Pierwszą myślą, która opanowała wszystkie umysły, było, iż plan został wykryty lub zdradzony i że ma się do czynienia z przeważającymi siłami. Jedyne cesarz utrzymywał, że to czysty przypadek sprowadził wszystkie trzy okręty, które nie mają zresztą z sobą nic wspólnego i pozornie tylko czynią wrażenie, jakby miały wrogie zamiary. Napoleon był święcie przekonany, że w ścisłej tajemnicy dokonana wyprawa nie mogła tak prędko być wykryta, by do jej ścigania uruchomić całą eskadrę.

Mimo tego przekonania rozkazał otworzyć luki, postanawiając zarzucić haki na okręt na wypadek napadu, wierzył bowiem, że przy pomocy swej załogi, złożonej z weteranów, zajmie nieprzyjacielski dwumasztowiec, po czym będzie mógł spokojnie płynąć dalej. Następnie zamierzał pod osłoną nocy ująć przed pościgiem dalszych dwóch fregat. Wciąż jednak mając nadzieję, że przypadek tylko połączył wszystkie trzy okręty, polecił wszystkim żołnierzom i tym osobom, które mogłyby wzbudzić podejrzenie, udać się pod pokład.

Rozkaz ten zakomunikowano sygnałami reszcie flotylli. Po wykonaniu tego zlecenia wyczekiwano na dalsze wypadki.

O godzinie 6 wieczorem oba okręty znalazły się w pobliżu, tak iż można już było porozumieć się za pomocą tuby. Jakkolwiek noc szybko zapadła, można było poznać francuski dwumasztowiec „Zefir”, płynący pod dowództwem kapitana Andrieux, i przekonać się o jego pokojowych zamiarach. Przepowiednie cesarza okazały się zatem trafne.

Kiedy oba dwumasztowce rozpoznały się wzajemnie, wymieniono pozdrowienia wedle zwyczajów morskich, zamieniając też kilka słów. Obaj kapitanowie zapytali się nawzajem o cel podróży. Kapitan Andrieux odpowiedział, iż płynie do Livorno. Odpowiedź „Incostanta” brzmiała, że okręt płynie do Genui i że chętnie zabierze zlecenia. Kapitan Andrieux dziękował i zapytał z kolei, jak się wiedzie cesarzowi. Usłyszawszy to pytanie, Napoleon nie mógł odmówić sobie przyjemności wzięcia udziału w tak interesującej rozmowie. Wziął tedy tubę z ręki kapitana Chotarda i wykrzyknął w odpowiedzi: „Doskonale!” Po wymianie tych informacji oba okręty ruszyły w dalszą drogę, znikając w ciemnościach.

„Inconstant” płynął dalej pod pełnymi żaglami i przy pomyślnym wietrze, tak iż już nazajutrz, 28 lutego osiągnięto przylądek korsykański. Tego też dnia sygnalizowano ponownie okręt wojenny, uzbrojony w 74 działa, płynący na pełnym morzu w kierunku

Bastii. Wieść ta jednak nie wywołała już niepokoju. Od pierwszej chwili przekonano się bowiem, że nie żywi on wrogich zamiarów.

Jeszcze przed opuszczeniem Elby Napoleon ułożył dwie odezwy. Gdy jednak postanowił dać je do przepisania, nie umiał ich nikt, nie wyłączając samego cesarza, odcyfrować. Rzucił je tedy do morza i podyktował natychmiast dwie inne, z których jedna zwracała się do armii, druga zaś do narodu francuskiego. Kto tylko umiał pisać, zamienił się w sekretarza, co tylko było pod ręką, bębny, ławki, czaka, wszystko znalazło zastosowanie jako pulpity i każdy przystąpił do pracy. Wśród tej pracy zauważono wybrzeża portu Antibes, które powitane zostały okrzykami serdecznej radości.

STO DNI

Dnia 1 marca o godzinie 3 flotylla zarzuciła kotwicę w zatoce Juan; w dwie godziny potem Napoleon zszedł na ląd. Rozłożono obóz w gaju oliwkowym, w którym jeszcze teraz pokazują drzewo, pod którym spoczął cesarz. W tym samym czasie wysłano do Antibes 25 grenadierów na czele z oficerem gwardii, by pozyskać tamtejszy garnizon, uniesieni jednak zapalem, ruszyli oni do miasta z okrzykiem: „Niech żyje cesarz!”

Nic jeszcze nie wiadomo o wylądowaniu Napoleona, uważano tedy tych ludzi za obłąkanych. Komendant polecił podnieść most zwodzony, owych zaś 25 walecznych znalazło się jakby w więzieniu.

Było to prawdziwe nieszczęście. Kilku oficerów doradzało Napoleonowi pomaszerować do Antibes i zająć miasto siłą, by uniknąć złego wrażenia, jakie mógłby wyrzucić opór tej miejscowości. Napoleon jednak odrzekł, że trzeba iść wprost na Paryż, a nie na Antibes. Zamieniając zaś słowa w czyn, polecił zwinąć obóz, gdy księżyc ukazał się na niebie.

Wśród nocy niewielka armia stanęła w Cannes, by już o godzinie 6 rano pomaszerować przez Grasse, po czym zatrzymano się na wzgórzu wznoszącym się nad miastem. Zaledwie dotarł tam Napoleon, otoczyli go mieszkańcy okolicy, którzy już słyszeli o cudownym wylądowaniu cesarza. Napoleon przyjął ich tak, jakby to uczynił w Tuileries, wysłuchiwał ich żalów, przyjmował prośby, obiecując sprawiedliwość.

W Grasse Napoleon spodziewał się znaleźć gościniec, który polecił zbudować w roku 1813, droga jednak nie była jeszcze gotowa. Zmuszony był tedy pozostawić w mieście swój powóz oraz cztery niewielkie działa, zabrane z Elby. Ruszono dalej w drogę przez pokrytą jeszcze śniegiem ścieżynę górską, wieczorem zaś, po 20-godzinnym marszu, oddział zatrzymał się na nocleg we wsi Cérénon. Dnia 3 marca Napoleon znalazł się w Barême, następnego dnia w Digue, 5 marca zaś w Cap. W tym mieście zatrzymał się aż do wydrukowania odezw, które po drodze rozdawano w tysiącach egzemplarzy.

Tymczasem cesarza trapiły poważne troski. Dotąd stykał się wyłącznie z ludnością, której entuzjazm i zapal nie nastroczały żadnych wątpliwości. Ale nie pokazał się jeszcze ani jeden żołnierz, żaden zorganizowany oddział nie przyłączył się do niewielkiej armii cesarskiej, a przecież Napoleon spodziewał się, iż osoba jego wywrze wpływ na pułki wysłane celem zwalczania go. Chwila ta, wyczekiwana z taką trwogą, a zarazem tak gorąco upragniona, wreszcie nadeszła. Między Lamuse a Vizille natknął się generał Cambronne, maszerujący w przedniej straży na czele 40 grenadierów, na wysłany z Grenoble batalion, który miał rozkaz zamknąć drogę Napoleonowi. Dowódca oddziału wzbraniał się uznać generała, ten zaś polecił zawiadomić cesarza.

Napoleon odbywał właśnie drogę w lichym wozie podróżnym, zakupionym w Cap, gdy doszła go ta wiadomość. Natychmiast polecił przyprzeprzeć swego konia, dosiadł go i galopem popędził na odległość niemal stu kroków do żołnierzy, którzy stanęli jakby murem, zamykając drogę. Ani jeden okrzyk, ani jedno pozdrowienie nie padło z szeregów na jego powitanie.

Nadeszła chwila, w której wszystko trzeba było rzucić na jedną kartę. Miejsce, na którym

znajdował się cesarz, nie pozwalało cofnąć się. Po lewej stronie gościńca wznosiła się stroma góra, z prawej zaś rozpościerała się niewielka, niespełna na 30 stóp szeroka łączka, odgraniczona wąwozem. Naprzeciwko zaś stał w pogotowiu batalion, rozciągający się od wąwozu aż po górę.

Napoleon zatrzymał się na małym wzniesieniu, w odległości 10 kroków od strumyka przepływającego przez łąkę. Wtem zwraca się cesarz do generała Bertranda i rzucając mu cugle swego konia woła: „Zawiodłem się w nadziejach, a jednak naprzód!” Mówiąc te słowa, cesarz zsiada z konia, przechodzi przez strumyk i kroczy wprost ku wciąż jeszcze nieruchomemu batalionowi. W odległości 20 kroków zatrzymuje się w chwili, gdy dowodzący batalionem adiutant generała Marchanda dobywa szabli, nakazując dać ognia, Napoleon woła do żołnierzy: „Jakże to, przyjaciele moi, nie poznajecie mnie? Jestem waszym cesarzem. Jeśli znajdzie się wśród was żołnierz, który chce zabić swego generała, niechaj to uczyni. Oto stoję przed wami”. Zaledwie Napoleon wypowiedział te słowa, gdy z ust wszystkich dobywa się gromki okrzyk: „Niech żyje cesarz!” Po raz drugi adiutant daje komendę: „ognia!”, głos jego ginie jednak wśród tysięcznych okrzyków.

W czasie gdy czterech polskich lansjerów ściga uciekającego adiutanta, rozpadają się szeregi żołnierzy, wszyscy rzucają się naprzód, otaczają Napoleona, zrywają białą kokardę, przypinają trójkolorową. A wszystko to wśród okrzyków radości i zachwytu, który wyciskał łzy z oczu dawnego ich generała. Rychło jednak przypomina sobie Napoleon, że nie ma ani chwili do stracenia. Komenderuje tedy pół obrotu w prawo, staje na czele kolumny i maszeruje ku szczytowi góry, która wznosi się pod Vizille, mając przed sobą generała Carbonne'a z jego 40 grenadierami, za sobą zaś batalion, który wysłany został, by zamknąć mu drogę. Ze szczytu widzi Napoleon, jak w odległości pół mili adiutant, wciąż jeszcze ścigany przez polskich lansjerów, którym umyka, mając wypoczętego konia, dobiega wreszcie do miasta, znika, ukazując się po chwili na drugim krańcu, by w końcu ująć pościgu drogą na przełaj, gdzie nie mogą już biec za nim ich konie, półżywe ze zmęczenia. Tymczasem jednak ów uciekający oficer i czterej ścigający go lansjerzy, mknąc jak strzała przez ulice miasta, samym zjawieniem się zdradzili wszystko. Rano jeszcze widziano adiutanta kroczącego na czele batalionu, a teraz uciekał sam jeden przed pościgiem. A więc to prawda: Napoleon nadciąga, otaczany miłością ludu i żołnierzy! Wszystkich ogarnia zachwyt i radość. Nagle ukazuje się pochód armii napoleońskiej na pagórkach pod La Mure. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy wybiegają mu naprzeciw, całe miasto otacza cesarza, zanim jeszcze ukazuje się u jego bram, gdy tymczasem wieśniacy schodzą z gór, a od skały do skały rozbrzmiewa okrzyk: „Niech żyje cesarz!”

Napoleon zarządza postój w Vizille. Jest to jednak miasto bez bramy, bez murów, bez garnizonu. Trzeba zatem maszerować do Grenoble. Część ludności towarzyszy cesarzowi. Po godzinie drogi do Vizille ukazuje się z daleka oficer w galopie, cały okryty kurzem. Jak ów Grek pod Maratonem, oficer ten upadał niemal ze zmęczenia, przyniósł też jednak obfite wiadomości.

Okolo godziny 2 po południu odmaszerował z Grenoble 7 pułk piechoty pod dowództwem pułkownika Labédoyère, by wyruszyć przeciwko cesarzowi. Po półgodzinnym marszu jednak pułkownik, jadący na koniu przed oddziałem, odwraca się nagle i nakazuje stanąć. Stanąwszy na podwyższeniu, by przez wszystkich być widziany, dobywa orła i woła do żołnierzy: „Żołnierze! Spójrzcie na ten sławą okryty znak, który za naszych nieśmiertelnych dni szedł przed wami. On, który nas tyle razy wiódł do zwycięstwa, zbliża się teraz, by pomścić nasze upokorzenia, nasze nieszczęścia. Nadeszła chwila, abyśmy schronili się pod jego sztandar, który nie przestał być naszym. Kto mnie kocha, niechaj za mną pójdzie! Niech żyje cesarz!” – Cały pułk poszedł za nim. Ów oficer, chcąc być pierwszym, który wieść tę przyniesie cesarzowi, popędził naprzód, a cały pułk szedł za nim piechotą.

Napoleon popędza konia, ruszając w dalszą drogę. W ślad za nim rusza krokiem

szturmowym jego niewielka armia, wśród donośnych okrzyków. Ze szczytu jednego z pagórków widzi cesarz pułk Labédoyère, posuwający się pospiesznie naprzód. Gdy tylko żołnierze spostrzegli Napoleona, rozbrzmiewa okrzyk: „Niech żyje cesarz!” Napoleon rzuca się w sam środek przybywających oddziałów. Labédoyère zaś zeskakuje z konia, by rzucić się cesarzowi do kolan. Cesarz bierze go w ramiona, przyciska do piersi, mówiąc: „Pułkowniku, pan wprowadzisz mnie na tron Francji!” Labédoyère nie posiada się z radości. Ten uścisk cesarza przypłaci życiem, ale mniejsza o to! Minęły stulecia, gdy dane było usłyszeć takie słowa.

Natychmiast ruszono w dalszą drogę. Napoleon bowiem nie może spocząć, nim nie znajdzie się w Grenoble. Miasto to ma załogę, która – jak wieść niesie – zamierza stawić opór. Cesarz zachowuje się wprawdzie, jak gdyby w to wierzył, rozkazuje jednak maszerować na miasto.

O godzinie 8 wieczorem Napoleon znalazł się pod murami Grenoble. Marsz oddziałów cesarskich dokonał się tak błyskawicznie, że ubiegł wszystkie zarządzenia. Nie zdążono nawet ściągnąć mostów zwodzonych. Zamknięto tylko bramy, komendant zaś wzbierał się je otworzyć.

Napoleon widzi, że chwila wahania może wszystko zepsuć. Noc pozbawia go magicznego uroku jego obecności; zapewne oczy wszystkich żołnierzy stojących na wałach szukają go, nikt go jednak nie widzi.

Poleca tedy pułkownikowi Labédoyère przemówić do żołnierzy. Pułkownik, stanąwszy na wzniesieniu, zawołał donośnym głosem:

– Żołnierze! Przynosimy wam z powrotem bohatera, z którym szliście w tyłu bitwach. Waszą rzeczą jest przyjąć go i wraz z nami wznieść okrzyk bojowy zwycięzców Europy: „Niech żyje cesarz!”

W rzeczy samej ten magiczny okrzyk podejmują nie tylko żołnierze na wałach, ale także ludność we wszystkich częściach miasta. Wszyscy spieszą do bram miejskich, te jednak są zamknięte, a klucze ma komendant. Tymczasem żołnierze towarzyszący Napoleonowi podeszli bliżej, nawiązując rozmowę z załogą twierdzy. Tamci odpowiadają, ludzie podają sobie ręce poprzez kraty, bram jednak nikt nie otwiera. Napoleon zgrzyta zębami z niecierpliwości, w której nie brak obawy. Nagle rozbrzmiewa okrzyk: „Miejsca! Miejsca!” To ludność przedmieścia Très-Cloître przybyła uzbrojona w drągi, by wyłamać bramy. Każdy z nich staje w szeregu, przystępują do dzieła heble, trzeszczą zasuwę, a wreszcie padają. Sześć tysięcy ludzi wkacza natychmiast do miasta.

To już nie entuzjazm, lecz szal i opętanie ogarnęło ludzi. Ludzie rzucają się na Napoleona, jakby go chcieli rozedrzeć w kawałki. W okamgnieniu porwano cesarza z końca wśród oznak powszechnej radości, uniesiono go w górę na ramionach. Nigdy jeszcze w żadnej bitwie cesarz nie był narażony na takie niebezpieczeństwo. Wszyscy drżą o niego, tylko on sam rozumie, że fala, która go unosi jest miłością.

Napoleon zatrzymuje się w hotelu. Nadchodzi sztab generalny. Zaledwie zdążono trochę odpocząć, gdy rozlega się nowa wrzawa. Tym razem są to mieszkańcy śródmieścia; ponieważ nie mogli przynieść Napoleonowi kluczy do bram miasta, przynoszą całe bramy.

Zapada noc, która zamienia się w nieustające święto. Żołnierze, mieszczanie i chłopci bratają się z sobą. Napoleon natychmiast poleca drukować odezwy, które nazajutrz roznoszone są po całym mieście. Z miasta wyruszają gońcy, którzy roznoszą je wraz z wiadomością o zajęciu stolicy Delfinatu. Dopiero w Grenoble Napoleon uświadamia sobie z całą pewnością, iż dotrze do Paryża.

Nazajutrz zjawia się duchowieństwo, sztab generalny, władze sądowe, miejskie oraz wojskowe, by złożyć hołd cesarzowi. Po ukończeniu audiencji Napoleon odbywa przegląd załogi, liczącej 6000 ludzi, po czym pospiesznie wyrusza na Lyon.

Następnego dnia cesarz podpisuje trzy dekrety, w których obwieszcza, iż przejmuje

ponownie władzę cesarską, po czym rusza w dalszą drogę, nocując w Bourgoin. Coraz liczniejsze są tłumy otaczające oddziały napoleońskie, coraz większy jest zapał i entuzjazm.

Na drodze z Bourgoin do Lyonu Napoleon dowiaduje się, że księżę orleański, hrabia d'Artois i marszałek Macdonald zamierzają bronić miasta i noszą się z zamiarem wysadzenia dwóch mostów: Morand i la Guillotière. Cesarz śmieje się z tych przygotowań, którym nie daje wiary, znając patriotyzm lyończyków. Czwarty pułk huzarów otrzymuje rozkaz podejścia aż pod la Guillotière. Huzarzy powitani zostali okrzykiem: „Niech żyje cesarz!”, okrzyk ten dochodzi do uszu Napoleona. Natychmiast pędzi galopem i zjawia się sam wśród ludności w chwili, gdy go najmniej oczekiwano. Obecność jego sprawia, że radość tłumów zamienia się w zachwyty i entuzjazm.

W tej samej chwili żołnierze obu stron rzucają się na barykady, które wspólnymi siłami burzą, by już po upływie kwadransa paść sobie w ramiona. Księżę Orleanu i generał Macdonald zmuszeni są do odwrotu, opuszczony zaś przez wszystkich hrabia d'Artois rzuca się do ucieczki, mając u swego boku zaledwie jednego rojalistę.

O godzinie 8 wieczorem cesarz wkracza do drugiej stolicy królestwa.

Z Lyonu Napoleon pojechał do Mâcon. Entuzjazm ludności wzrastał z każdą chwilą. Już nie poszczególne jednostki, lecz same władze witały go u bram miejskich. Dnia 17 marca w Auxerre złożył pokłon cesarzowi miejscowy prefekt, pierwszy wyższy dygnitarz, który odważył się na ten krok.

Wieczorem tego samego dnia zameldował się marszałek Ney. Przybył, zawstydzony z powodu chłodnego stanowiska zajętego w roku 1814 i przysięgi wierności złożonej Ludwikowi XVIII, by uprosić sobie miejsce w szeregach grenadierów. Napoleon objął go, nazwał najwaleczniejszym z walecznych i wszystko poszło w niepamięć.

Znów był to uścisk przyplacony życiem.

Dnia 20 marca Napoleon przybył do Fontainebleau. Pałac ten wzbudzał smutne wspomnienia, w jednej bowiem z komnat pragnął się pozbawić życia, w innej zaś rzeczywiście pozbawiony został cesarstwa. Na chwilę tylko zatrzymał się w pałacu, po czym ruszył w dalszym triumfalnym pochodzie do Paryża.

Wieczorem o godzinie pół do dziewiątej wkroczył cesarz na dziedziniec Tuileries. I tutaj, podobnie jak w Grenoble, rzucono mu się naprzeciw, tysiące ramion otwarło się na powitanie, chwyciło go w objęcia, jedni drugim wydzielali sobie cesarza, a wszystko pośród gorączkowych okrzyków radości. Tłum jest tak olbrzymi, że nie sposób go opanować, jest on jak potok górski, którego nie podobna powstrzymać w biegu. Cesarz może zaledwie wypowiedzieć słowa: „Przyjaciele, dusicie mnie!”

W komnatach pałacu Napoleon zastaje innego rodzaju tłum, wyzłocony, pełen uszanowania, tłum dworaków, generałów, marszałków. Ci nie duszą Napoleona, lecz pochylają przed nim czoła.

– Panowie – rzecze do nich cesarz – ludzie pełni poświęcenia sprowadzili mnie do stolicy, wszystko jest dziełem podporuczników i żołnierzy, wszystko zawdzięczam ludowi i armii.

Jeszcze tej samej nocy Napoleon zajął się reorganizacją najwyższych władz państwowych, tworząc przede wszystkim nowy rząd.

Z końcem marca można było przypuszczać, że dynastia Burbonów nigdy nie istniała, całemu narodowi zaś zdawało się, że śnił. W rzeczy samej jednego dnia została zakończona rewolucja, która nie kosztowała ani kropli krwi, i nikt nie mógł tym razem zarzucić Napoleonowi śmierci ojca, brata lub przyjaciela. Jediną widoczną zmianą był kolor chorągwi powiewających nad naszymi miastami i okrzyk: „Niech żyje cesarz!”, rozbrzmiewający od jednego do drugiego końca Francji. Napoleon badawczym spojrzeniem ogarnia sytuację. Dwie drogi stoją przed nim otworem. Może albo wszystkie wysiłki skierować ku utrwaleniu pokoju, zbrojąc się przy tym do wojny, albo też może rozpocząć wojnę jednym z owych niespodziewanych poruszeń, jednym z owych nagłych, piorunujących uderzeń, które uczyniły

go gromowładnym Jowiszem Europy.

Każda z tych dróg ma swe złe strony.

Wszystkie wysiłki skierować ku utrwaleniu pokoju – znaczyłoby dać koalicji czas na pozbieranie sił. Gdy nieprzyjaciele porównali swoje siły z naszymi, przekonali się, że mają tyle armii, ile my mamy dywizji. Znowu więc pozostajemy w stosunku jeden do pięciu. A jednak już i tak nieraz się zwyciężało!

Rozpocząć wojnę – znaczyłoby znowu przyznać słusność tym, którzy utrzymują, że Napoleon nie chce pokoju. Poza tym cesarz rozporządza tylko 40000 ludzi. Armia ta wystarczyłaby wprawdzie do odzyskania Belgii i wkroczenia do Brukseli, tu jednak znalazłby się otoczony pierścieniem twierdz, które by musiał zdobywać. W dodatku w Wandei powstało wrzenie, książe d'Angouleme maszerował na Lyon, marsylianie zaś na Grenoble. Trzeba więc było póki czas uśmierzyć pożar tlejący w samym wnętrzu Francji, zagrażający wydaniem całego kraju w ręce nieprzyjaciół.

Napoleon decyduje się tedy obrać pierwszą z wymienionych dróg. Pokój, który odrzucił w roku 1814 w Châtillon, gdy wojska nieprzyjacielskie wkroczyły do Francji, może teraz, po powrocie z Elby, zostać przyjęty. Zatrzymać można się dopóty, dopóki idzie się w górę, nigdy jednak gdy spada się w dół.

Aby okazać narodowi swą dobrą wolę, Napoleon wystosowuje pismo okrężne do wszystkich monarchów europejskich. Pismo to, proponujące zawarcie pokoju na zasadzie bezwarunkowego poszanowania niepodległości innych narodów, zastało władców Europy na najlepszej drodze do podziału Europy między siebie. W tym wielkim frymarczeniu ludźmi, w tym jawnym handlu duszami Europy, Rosja zagarnia Księstwo Warszawskie, Prusy pochłaniają część królestwa Saksonii, część Polski, Westfalii, Frankonii, spodziewając się, niby niezmierny wąż, którego ogon dotyka Klajpedy, wydłużyć łeb swój do lewego brzegu Renu aż po Thionville. Austria znów chce mieć Włochy oraz to wszystko, co jej dwugłowy orzeł upuścił ze szponów na zasadzie traktatów w Luneville, Preszburgu i Wiedniu. Każde wielkie mocarstwo pragnie mieć dla siebie małe królestwo, jak marmurowy lew, dźwigający kulę w łapach. Rosja domaga się Polski, Prusy Saksonii, Hiszpania Portugalii, Austria żąda Italii, Anglia wreszcie domaga się Holandii i Hanoweru.

Jak widzimy zatem, pora była nieodpowiednia. Inicjatywa cesarza odniosłaby może skutek, gdyby kongres się jeszcze nie zebrał i rokowania mogłyby być prowadzone z każdym z monarchów z osobna. Ponieważ jednak wszyscy znajdowali się przy jednym stole, mogąc sobie nawzajem patrzeć w twarz, wzięła w nich górę miłość własna i Napoleon nie otrzymał odpowiedzi.

Milczenie to nie zdziwiło cesarza. Przewidział je z góry, nie tracąc ani chwili w zbrojeniu się do wojny. Im dokładniej jednak badał swe zasoby wojenne, tym czuł się szczęśliwszy. Nie uległ pierwszemu impulsowi. We Francji bowiem wszystko było rozluźnione, zaledwie pozostało jądro armii. Co się tyczy materiału wojennego, amunicji, broni i armat, wszystko jakby gdzieś się ulotniło.

Od trzech miesięcy Napoleon pracował po 16 godzin na dobę. Na jego rozkaz Francja pokryła się fabrykami, warsztatami i odlewniami, zbrojmistrze zaś w samej stolicy dostarczali do 3000 karabinów w ciągu doby, podczas gdy w tym samym czasie krawcy sporządzali 1500–1800 mundurów. Armia zostaje powiększona i zreorganizowana. Generał inżynierii Haxo otrzymuje zlecenie ufortyfikowania Paryża.

Gdyby koalicja zostawiła nam czas do 1 czerwca, podniósłby się stan efektywny naszej armii z 200000 do 414000 ludzi, do 1 września nie tylko stan ten byłby podwojony, ale z każdego miasta, aż do centrum Francji, zrobiono by twierdzę.

Nie ma ani chwili do stracenia. Koalicja, spierająca się o Saksonię i Kraków, stanęła z bronią na ramieniu, z płonącym lontem. Cztery rozkazy padają i Europa ponownie rozpoczyna pochód przeciwko Francji.

Wellington i Blücher zgromadzili 220000 ludzi między Leodium a Courtrai. Wojska badeńskie, bawarskie i wirtemberskie spieszą do Palatynatu i Schwarzwald. Austriacy zbliżają się w pospiesznych marszach, by z nimi się połączyć. Moskale nadciągają z Polski przez Frankonię i ziemię saską, znajdują się więc najpóźniej za dwa miesiące nad brzegami Renu. 900000 ludzi stanęło pod bronią, 300000 pójdzie za nimi. Koalicja posiadała tajemnicę Kadmusa, na jej wezwanie armie wyłaniają się spod ziemi.

W miarę skupiania się sił nieprzyjacielskich Napoleon odczuwa konieczność oparcia się na tym ludzie, który opuścił go w roku 1814. Na chwilę waha się, czy nie powinien złożyć korony cesarskiej i sięgnąć po miecz pierwszego konsula. Urodzony jednak w wirze rewolucji, Napoleon obawia się wzburzenia ludu, którego nic poskromić nie zdoła. Naród uskarżał się na brak wolności, pragnie tedy dać dodatkowe ustawy do konstytucji cesarstwa. W roku 1790 miała Francja federację, niechaj rok 1815 przyniesie jej „pole majowe”, może tym da się zaspokoić jej pęd ku wolności. Napoleon odbywa przegląd wojsk sfederowanych, po czym u stóp ołtarza na Polu Marsowym składa uroczystą przysięgę wierności na nową konstytucję. Tego samego dnia otwiera parlament.

Ale niedługo potem, uwolniwszy się od tej komedii politycznej, którą rozgrywa z uczuciem niechęci, podejmuje swą prawdziwą rolę i staje się znów generałem. Do rozpoczęcia kampanii rozporządza 180000 ludzi. Co ma począć? Czy wyjść naprzeciw wojskom angielsko-pruskim, by spotkać się z nimi pod Brukselą lub Namur? Czy też ma oczekiwać sprzymierzonych pod murami Paryża lub Lyonu? Czy ma być Hannibalem czy też Fabiuszem?

Jeśli będzie oczekiwać sprzymierzonych, zyska czas wolny do sierpnia, aż do chwili ukończenia rekrutacji i zbrojeń oraz przygotowania całego materiału wojennego. Mógłby wówczas przy pomocy wszystkich środków zwalczać armię, osłabioną przez korpusy obserwacyjne, które zmuszona będzie pozostawić na tyłach. Ale połowa Francji, która znalazłaby się wtedy w ręku wroga, nie pojęłaby roztropności tego kroku. Można bowiem odgrywać rolę Fabiusza, jeśli się jest jak Aleksander Wielki w posiadaniu siódmej części kuli ziemskiej, lub też jeśli się porusza jak Wellington na terytorium obcego państwa. Poza tym nie leży w genialnej naturze cesarza tak długo zwlekać.

Z drugiej strony Napoleon spodziewa się przez szybki atak na Belgię wprowadzić w prawdziwe osłupienie nieprzyjaciela, który przypuszcza, że nie jesteśmy zdolni do wyruszenia w pole. Można by w ten sposób rozgromić i w puch rozbić armię Wellingtona i Blüchera, zanim reszta koalicji przyłączy się do nich. Tym samym wpadłaby w jego ręce Bruksela, na wybrzeżach Renu chwycono by za broń, we Włoszech, Polsce i Saksonii wybuchłyby powstania i w ten sposób od razu z początkiem kampanii zręcznie dokonane uderzenie mogłoby rozbić całą koalicję.

Co prawda, w przypadku niepowodzenia nieprzyjaciel wkroczyłby do Francji już z początkiem lipca, to znaczy o dwa miesiące wcześniej, aniżeli sam tego by pragnął, ale czyż może Napoleon, po triumfalnym pochodzie z zatoki Juan do Paryża, wątpić w waleczność swej armii, z góry przewidywać klęskę?

Czwartą część armii, liczącej 180 000 ludzi, Napoleon musi przeznaczyć do obsadzenia Bordeaux, Tuluz, Chambery, Belfortu i Strasburga oraz by utrzymać w ryzach Wandę, ten odwieczny wrzód polityczny, źle wycięty przez Hoche'a i Klébera. W ten sposób pozostaje cesarzowi tylko 125000 ludzi. Wprawdzie ma przeciwko sobie 200000 nieprzyjaciół, gdyby jednak poczekał jeszcze pół roku, miałby na karku całą Europę. Dnia 12 czerwca Napoleon opuszcza Paryż, w dwa dni potem zaś przenosi do Beaumont swoją kwaterę główną.

Wieczorem 14 czerwca Napoleon podchodzi na odległość dwóch godzin od pozycji nieprzyjacielskich, podczas gdy nieprzyjacielowi nie śni się jeszcze o jego marszu. Cesarz spędza noc pochylony nad mapą okolicy w otoczeniu szpiegów, informujących go dokładnie o stanowiskach poszczególnych oddziałów nieprzyjacielskich. Po szczegółowym rozpatrzeniu

ich dyslokacji cesarz z wrodzoną bystrością oblicza, iż przy nadmiernym rozciągnięciu pozycji, co najmniej trzy dni będą potrzebne nieprzyjacielowi na połączenie się. Jeśli zaatakuje z nagłą i niespodzianą, będzie mógł oderwać od siebie obie armie i pojedynczo je rozgromić. Przede wszystkim tedy ściąga w jeden korpus 20 000 konnicy; szable jej mają za zadanie rozciąć na pół węża, którego oddzielne części natychmiast pragnie zdeptać.

Gdy plan bitwy został nakreślony, Napoleon wydaje dalsze rozkazy, po czym dalej zajmuje się badaniem terenu i wypytywaniem szpiegów. Wszystko umacnia go w przekonaniu, że pozycje nieprzyjacielskie są mu doskonale znane, nieprzyjaciel natomiast nie ma najmniejszego wyobrażenia o rozmieszczeniu naszych wojsk. Wtem nadjeżdża galopem adiutant generała Gérarda przynosząc wiadomość, iż generał-porucznik Bourmont oraz pułkownicy Clouet i Villoutrey z czwartego korpusu przeszli na stronę wroga. Napoleon przyjmuje tę wiadomość ze spokojem człowieka przywykłego do zdrady podwładnych, po czym zwraca się do stojącego obok marszałka Ney'a ze słowami:

– No i cóż, marszałku, słyszał pan? To pański protegowany, o którym słyszeć nie chciałem, a za którego pan mi ręczył. Przyjąłem go jedynie przez wzgląd na pana. Teraz przeszedł do nieprzyjaciół!

– Sire – odparł marszałek – proszę mi wybaczyć, uważałem go jednak za tak oddanego, iż przysięgłbym zań tak jak za samego siebie.

– Panie marszałku – rzecze Napoleon, wstając z miejsca i kładąc Neyowi dłoń na ramieniu – kto jest niebieski, zostaje niebieski, a kto jest biały, pozostaje biały!

Następnie siada z powrotem, by natychmiast dokonać zmian planu koniecznych wskutek tej zdrady.

Jeszcze tego samego wieczoru cała armia francuska przekracza Sambrę. Wojska Blüchera cofają się do Fleurus, pozostawiając między sobą a armią angielsko-holenderską wyłom na przestrzeni czterech godzin marszu.

Napoleon dostrzeżąc ten błąd taktyczny i spieszy z wykorzystaniem go. Ney otrzymuje od cesarza ustny rozkaz wyruszenia na czele 42 000 ludzi szosą brukselską do Charleroi. Zatrzymać się ma dopiero w Quatre-Bras, ważnym węzłowym punkcie na skrzyżowaniu dróg z Brukseli, Nivelles, Charleroi i Namur. Tam też ma zamknąć drogę Anglikom, podczas gdy on sam z resztą armii w sile 72000 ludzi pobije Prusaków. Marszałek Ney natychmiast wyrusza w drogę.

Przypuszczając, że rozkazy jego zostały wykonane, Napoleon rozpoczyna rankiem 16 czerwca pochód i napotyka na armię pruską, uformowaną w ordynku bojowym między Saint-Amand i Sombreffe. Pozycja nieprzyjaciela jest wysoce nieodpowiednia, prawie bowiem skrzydło odsłania Neyowi, który o tej porze, stosownie do otrzymanego rozkazu, powinien znaleźć się w Quatre-Bras, czyli w odległości dwóch godzin marszu od tyłów nieprzyjacielskich. Polegając na tym, Napoleon wydaje dalsze zarządzenia. Ustawia armię równoległą do armii Blüchera, by zaatakować ją z przodu, a zarazem posyła zaufanego oficera do Ney'a z rozkazem, by pozostawił w Quatre-Bras korpus obserwacyjny, sam zaś pospieszenie skierował się na miejscowość Bry, by uderzyć na tyły pruskie. W tej samej chwili wybiega inny oficer, by zatrzymać w Villers-Perruin korpus hrabiego d'Erlona, stanowiący tylną straż. Korpus ten ma się odwrócić i pomaszerować również do Bry. Nowe zarządzenie przyspiesza sprawę o godzinę, wzmacniając w dwójnasób szansę udania się manewru. Jeśli bowiem jeden się nie zjawi, przybędzie niezawodnie drugi, gdyby zaś obaj stosownie do rozkazu przybyli po sobie do Bry, wówczas cała armia pruska musiałaby zostać rozbita. Pierwsze strzały armatnie, które usłyszy Napoleon od strony Bry lub Vagnelée, mają być hasłem do ataku dla całego frontu. Wydawszy wszystkie zarządzenia, cesarz zatrzymuje się i czeka.

Czas upływa, nic jednak nie słychać. Dwie, trzy, cztery popołudniowe godziny mijają i wciąż ta sama cisza. Dzień jednak zbyt jest kosztowny, by go można było tracić. Jutro już

nieprzyjaciele mogą połączyć się, a wówczas cesarz musiałby opracować nowy plan, by odzyskać szczęśliwą szansę. Daje tedy rozkaz do ataku. Jakkolwiek bądź, Prusacy, zajęci bitwą, odwrócić uwagę od Ney, który bez wątpienia zjawi się przy pierwszym strzale armatnim.

Napoleon rozpoczyna walkę ogólnym atakiem na linię nieprzyjacielską. Bój toczy się już dwie godziny, a wciąż jeszcze nie ma żadnej wieści ani od Ney, ani od Erlona. Cesarz musi więc sam próbować zwycięstwa. Noc jednak zapada i cała armia Blüchera maszeruje przez Bry, która to miejscowość miała być obsadzona przez Ney na czele 20 000 ludzi. Mimo to bitwa jest wygrana: 40 dział wpada w nasze ręce, 20 000 ludzi spośród wojsk nieprzyjacielskich niezdolnych jest do dalszej walki, armia pruska zaś znajduje się w takim nieładzie, że o północy jej generałowie mogą skupić zaledwie 30 000 ludzi, choć pierwotnie składała się z 70000 żołnierzy. Sam Blücher spadł z konia w czasie bitwy i bardzo potłuczony uciekł pod osłoną ciemności na koniu jednego ze swych dragonów.

Wśród nocy nadchodzi wreszcie wiadomość od Ney. Okazuje się, że powtarzają się błędy popełnione w roku 1814. Zamiast wyruszyć o świcie, jak brzmi rozkaz, na słabo przez Prusaków obsadzoną miejscowość Quatre-Bras i zająć ją, Ney wyruszył dopiero w południe z Gosselies, tak że w Quatre-Bras, które tymczasem oznaczył Wellington jako punkt zborny dla wciąż nadciągających korpusów, zastał marszałek 30000 zamiast 10000 nieprzyjaciół. A jednak Ney nie zawahał się rozpocząć ataku, tym bardziej że przypuszczał, iż ma za sobą 20-tysięczną armię Erlona. Jakież było jego zdumienie, gdy przekonał się, że korpus, na który liczył, nie przyszedł mu z pomocą. Rzuca się tedy z furią na nieprzyjaciela. W tej samej chwili jednak nadchodzą nieprzyjacielskie posiłki w sile 12000 ludzi pod Wellingtonem i Ney zmuszony zostaje do odwrotu.

Jakkolwiek zwycięstwo odniesione przez nas nie przyniosło rozstrzygnięcia, to jednak mimo wszystko było to zwycięstwo. Armia pruska, znajdująca się w ustawicznym odwrocie, zboczyła na lewo, odsłaniając tym samym armię angielską, która teraz najbardziej wysunęła się naprzód. By zapobiec połączeniu się obu armii, Napoleon wysłał generała Grouchy z 34000 ludzi z rozkazem ścigania Prusaków aż do chwili, gdy zatrzymają się. Grouchy jednak popełnia ten sam błąd, który popełnił Ney; w księdze przeznaczeń jednak zapisane było, że skutki tego błędu mają być daleko straszliwsze.

Tymczasem zapada noc. Wszyscy zdają sobie sprawę, iż nadeszła wigilia owej bitwy pod Zamą, nie wiadomo tylko, kto będzie Scypionem, a kto Hannibalem.

Nazajutrz rano, gdy wszyscy znajdują się na pozycji, oczekując tylko rozkazu wymarszu, Napoleon objeżdża galopem nasze linie. Wszędzie gdzie ukazuje się cesarz, witają go dźwięki muzyki i radosne okrzyki żołnierzy. Jest to zwyczaj nadający każdemu rozpoczęciu bitwy uroczysty charakter, w przeciwieństwie do sztywnego chłodu armii nieprzyjacielskich, gdzie komenderujący generał rzadko cieszy się takim zaufaniem i sympatią, by wywołać entuzjazm. Z lunetą w ręku, wsparty o drzewo, pośród żołnierzy ustawionych w szyku bojowym, obserwuje Wellington tę wzruszającą scenę, rozgrywającą się wśród armii, która przysięga zwyciężyć lub umrzeć.

Napoleon wraca i staje na wzniesieniu pod Rossomme, skąd ogarnia wzrokiem cały plac boju. Rozlegają się jeszcze za nim echa okrzyków i dźwięki muzyki, gdy nagle zapada cisza, unosząca się zazwyczaj nad dwiema armiami kroczącymi do boju.

Rychło jednak ciszę tę przerywa huk ognia karabinowego, rozlegający się z naszego skrajnego skrzydła. To flankierzy Hieronima rozpoczynają bitwę, by zwabić w tę stronę Anglików.

W chwili gdy Napoleon obserwuje pierwsze poruszenia na polu bitwy, nadjeżdża pędem adiutant marszałka Ney, który miał przeprowadzić środkowy atak na folwark Belle-Alliance, na szosie brukselskiej, z doniesieniem, iż wszystko jest gotowe i marszałek czeka na sygnał. W istocie, Napoleon widzi przed sobą masy wojsk przeznaczonych do tego ataku i już

zamierza dać znak na rozpoczęcie, gdy naraz, ogarniając raz jeszcze spojrzeniem całe pole bitwy, dostrzega we mgle jakby chmurę zbliżającą się od strony Saint-Lambert. W okamgnieniu zwracają się w tym kierunku wszystkie lunety sztabu generalnego. Kilku oficerów twierdzi, że to drzewa, inni utrzymują, że ludzie. Napoleon pierwszy rozpoznaje kolumnę marszową. Ale czy to Grouchy, czy też Blücher? Tego nikt nie wie. Marszałek Soult wyraża pogląd, że to Grouchy, natomiast Napoleon wątpi w to, pełen złowrogiego przeczucia. Wzywa tedy generała Domona, polecając mu wyruszyć ze swym dywizjonem lekkiej kawalerii i czym prędzej nawiązać kontakt z nadciągającym korpusem. Jeśli to Grouchy, ma się z nim połączyć, jeśli to zaś przednia straż Blüchera, zadaniem jego jest zamknąć jej dalszą drogę. Zaledwie rozkaz został wykonany, jeden z oficerów przyprowadza przed oblicze cesarza schwytanego pruskiego huzara, u którego znaleziono list generała Bülowa, zawiadamiający Wellingtona o swym przybyciu i żądający dalszych rozkazów. Teraz już nie ma wątpliwości co do nadciągającej armii. Jeniec podał także kilka innych wiadomości, którym cesarz musi dać wiarę, mimo iż brzmią nieprawdopodobnie. Podał mianowicie, że trzy korpusy armii prusko-saskiej stoją jeszcze pod Wavre, gdzie zupełnie ich Grouchy nie niepokoił. Żaden Francuz nie stoi przed tą miejscowością, patrol z pułku jeńca wysunął się bowiem właśnie tej nocy na dwie godziny przed Wavre, nie napotykając w drodze na nikogo.

Napoleon zwraca się do marszałka Soult'a ze słowami: „Dziś rano szanse nasze stały jeszcze na dziewięćdziesiąt, wskutek zjawienia się Bülowa tracimy trzydzieści. Wciąż jednak mamy jeszcze sześćdziesiąt przeciwko czterdziestu, a jeśli Grouchy naprawi swój wczorajszy błąd i przyśle błyskawicznie oddział, zwycięstwo będzie zdecydowane; korpus Bülowa zostanie stracony”.

Na krańcach prawego skrzydła uszeregowali się Prusacy Bülowa, wyruszający teraz do boju prostopadle do naszych wojsk. 30 000 ludzi i 60 dział wyrusza przeciwko dywizjom generałów Domona, Subervica i Lobau. Tutaj więc grozi chwilowo największe niebezpieczeństwo, które wzrasta jeszcze po nadejściu owych raportów. Patrole generała Domona wróciły, nie zauważywszy nigdzie marszałka Grouchy'ego. Wkrótce nadchodzi depesza od samego marszałka. Okazuje się, że zamiast o świcie wyruszył z Gembloux dopiero o godzinie pół do dziesiątej. Teraz zaś jest godzina pół do piątej po południu i od pięciu godzin trwa już ogień artylerii. Napoleon spodziewa się jeszcze, że Grouchy, posłuszny pierwszemu przykazaniu wojennemu, pójdzie w ślad za kanonadą. O godzinie pół do ósmej mógłby zjawić się na pobojowisku. Do tego czasu zaś trzeba zdwoić wysiłki, przede wszystkim zaś powstrzymać pochód 30-tysięcznej armii Bülowa, która znajdzie się, gdy Grouchy nareszcie się zjawi, w krzyżowym ogniu.

Napoleon rozkazuje generałowi Duhesme, dowodzącemu obu dywizjami młodej gwardii, wyruszyć na Planchenoit, dokąd pod naporem Prusaków cofa się Lobau. Duhesme bierze 8000 ludzi i 24 armaty; ustawiają się baterie rozpoczynając ogień w chwili, gdy artyleria pruska ostrzeliwuje szosę brukselską. Dzięki temu wzmocnieniu pozycji powstrzymany zostaje dalszy marsz Prusaków, a nawet na chwilę zdawało się, że wojska pruskie zachwiały się. Napoleon postanawia wykorzystać tę zmianę sytuacji. Ney otrzymuje rozkaz wymaszerowania do szturm na środek armii angielsko-holenderskiej i przełamania jej frontu. Marszałek ściąga do siebie kirasjerów Milhauda, którzy atakują z przodu, by uczynić wyłom w szeregach nieprzyjacielskich. Ney idzie za nim i po chwili staje ze swymi wojskami na platformie. W tej chwili jednak rozpoczyna się straszliwy ogień na całej linii angielskiej, ziejąc śmiercią ku naszym oddziałom. Równocześnie Wellington rzuca przeciw Neyowi resztę konnicy, a piechota angielska skupia się w czworobokach. By udzielić poparcia Neyowi, Napoleon przesyła hrabiemu Valmy rozkaz wyruszenia ze swymi dwoma dywizjonami kawalerii na platformę. W tej samej chwili marszałek Ney każe wysunąć się naprzód ciężkiej kawalerii generała Guyota. Przyłączają się do niej dywizjony Milhaud i Lefèvre-Desnouettesa, rzucając się do walki. 3000 kirasjerów i 3000 fragonów gwardii, czyli

najwaleczniejsi żołnierze na świecie wybiegają co koń wyskoczy, wpadając w pełnym biegu na czworoboki angielskie, które otwierają się, ostrzeliwując kartaczami, i na powrót się zamykają. Nic jednak nie zdoła powstrzymać żywiołowego ataku naszych żołnierzy. Kawaleria angielska cofa się w popłochu i dopiero pod osłoną artylerii gromadzi się na nowo. Niespodziewanie kirasjerzy i dragoni przypuszczają szturm na czworoboki, z których kilka wreszcie rozpada się; żołnierze angielscy giną, lecz nie ustępują na krok. Teraz rozpoczyna się straszliwa rzeź, przerywana od czasu do czasu rozpaczliwymi atakami konnicy, przeciwko której muszą zwracać się nasi żołnierze, podczas gdy czworoboki angielskie znów nabierają tchu i formują się na nowo, by znów ulec rozdarciu. Wellington przelewa łzy wściekłości widząc, jak 12000 ludzi spośród najlepszych jego wojsk ginąć musi z jego rozkazu. Wie jednak zarazem, że nie ustąpi ani na krok. Wódz angielski oblicza czas, który musi jeszcze upłynąć, zanim dzieło zniszczenia będzie zakończone, i wyjmując zegarek powiada do swego otoczenia: „wystarczą dwie godziny, zanim zaś jedna minie nadejdzie noc lub - Blücher”. I tak przez trzy kwadranse toczy się dalej morderczy bój.

Z wzniesienia, z którego widać całe pobojowisko, Napoleon dostrzega teraz bitą masę, wyłaniającą się na drodze z Wavre... Nareszcie zatem nadchodzi Grouchy, tak długo oczekiwany; przychodzi wprawdzie późno, lecz jeszcze dość wcześnie, by zwyciężyć. Na widok zbliżających się posiłków cesarz wysłał na wszystkie strony adiutantów z wieścią, że zjawił się Grouchy i za chwilę wzmocni nasze linie. W rzeczy samej owe masy rozwijają się w szeregi, formując się w szyki bojowe. Żołnierze nasi walczą teraz ze zdwojonym zapałem, przekonani święcie, że to już ostatnie uderzenia. Wtem nagle od strony nowo przybyłych wojsk zaczyna się straszliwa kanonada artylerii, a kule zamiast zwracać się przeciwko Prusakom, sieją spustoszenie w naszych szeregach. Wszyscy stoją w osłupieniu, gdy nagle cesarz uderza się w czoło: to nie Grouchy, to Blücher!

Jednym rzutem oka Napoleon ogarnia swe położenie. Sytuacja jest tragiczna. 60000 żołnierzy, których nie brał pod uwagę napadło znienacka na nasze wojska, zdziesiątkowane 8-godziną bitwą. W centrum ma wprawdzie jeszcze przewagę, nie ma już jednak prawego skrzydła. Dalej prowadzić żniwo śmierci, by nieprzyjaciela przeciąć wpół, byłoby teraz bezcelowe, a nawet niebezpieczne. Cesarz nakazuje przeprowadzenie jednego z najpiękniejszych manewrów, jakie kiedykolwiek w swych najśmielszych kombinacjach strategicznych wykonał: jest to mianowicie wielka ukośna zmiana frontu, za pomocą której może zwrócić się czołem w stronę obu armii. Nadto upływa czas i noc, która miała przyjść z pomocą Anglikom.

Natychmiast rozkazuje Napoleon lewemu skrzydłu zluzować pierwszy i drugi korpus, które najdotkliwiej ucierpiały. Lobau i Duhesme mają cofać się dalej i uformować w szeregi powyżej Planchenoit. Centrum armii może i powinno ostać się o własnych siłach. Równocześnie adiutant otrzymuje rozkaz objazdu całej linii z wieścią, że marszałek Grouchy nadchodzi.

Na tę wiadomość zapał powszechny ożywa na nowo. Na całej niezmierzonej linii wszystko prze naprzód. Ney, pięciokrotnie pozbawiony konia, chwyta miecz do ręki. Napoleon staje na czele rezerwy i sam rzuca się do ataku na szosę. Nieprzyjaciel wciąż jeszcze cofa się ku swej linii środkowej, pierwsze zaś jego szeregi są przełamane. Przebijają się przez nie nasza gwardia i zdobywa baterię. Tu jednak natrafia na drugą linię nieprzyjaciela; są to niedobitki pułków rozgromionych przed dwiema godzinami przez naszą kawalerię, które teraz na nowo się uformowały. Kolumna francuska rozwija się jakby do manewru, gdy nagle zaczyna walić w nią z odległości strzału z pistoletu 10 polowych armat ustawionych w baterię, szerząc wśród naszych szeregów śmierć i spustoszenie. Równocześnie 20 innych dział naciera za nią z flanki, czyniąc wyłom w masach skupionych dookoła Belle-Alliance. Generał Friant zostaje ranny, generałowie Michel, Jamin i Mallet padają od kul, zabici też zostają majorowie Angelet, Cardinal i Agnes. Generał Guyot, prowadzący po raz ósmy z rzędu ciężką kawalerię

do ataku, zostaje dwukrotnie trafiony. Mundur i kapelusz marszałka Ney'a przedziurawione są przez kule. Linia nasza zdaje się na chwilę być zachwiana. W tym samym momencie zjawia się Blücher w La Haie, wypędzając stamtąd oba pułki broniące tego punktu. Oba te pułki, które przez pół godziny stawiały opór 10-tysięcznej armii, zaczynają się cofać, Blücher zaś ściąga do siebie 6000 angielskiej konnicy, która dotąd osłaniała lewe skrzydło Wellingtona. Oddziały te, zmieszane ze ściganymi przez siebie Francuzami, zadają straszliwy cios w samo serce naszej armii. Wtem generał Cambronne rzuca się z drugim batalionem pułku strzelców – pomiędzy kawalerię angielską i uciekających, tworzy czworobok, osłaniając odwrót pozostałych batalionów gwardii. Batalion jego ściąga teraz na siebie całe natarcie wroga. Nieprzyjaciel otacza go i atakuje ze wszystkich stron. Wówczas to generał Cambronne na żądanie, by się poddał, wyrzekł co prawda nie ów frazes kwiecisty, który mu przypisują, lecz jedno jedyne słowo, wprawdzie nieco trywialne, lecz mimo to wzniosłe, w chwilę zaś potem, trafiony w głowę odłamkiem kuli armatniej, stoczył się zmiądzony z konia.

Teraz Wellington wysyła swe lewe skrzydło, którym już w tej chwili może rozporządzać, i ze swej strony rozpoczynając ofensywę, rzuca swe oddziały jakby potok górski spływający gwałtownym prądem w nizinę. Kawaleria angielska objeżdża dokoła czworoboku gwardii, nie mając jednak odwagi zaatakowania, kieruje się w prawo i zawraca, by przedrzeć się przez nasze centrum. W tej samej chwili nadchodzi wieść, że Bülow osaczył nasze skrajne prawe skrzydło, że generał Duhesme został śmiertelnie ranny, że wreszcie marszałek Grouchy, na którego liczono, nie nadchodzi. Ogień z flint i armat wali w nasze tyły w odległości nie większej niż 1000 metrów, Bülow zalewa nas niby potop. Rozlega się okrzyk: „Ratuj się kto może!” po czym zaczyna się rozprzężenie. Bataliony, które usiłują jeszcze stawiać opór, porywane zostają przez uciekających. Napoleon schronił się, już będąc niemal osaczony, wraz z Neyem, Soult'em, Bertr'andem, Drouot'em i Corbineau do czworoboku Cambronne'a. Kawaleria atakuje raz po raz, artyleria angielska oczyszcza z góry całą równinę, podczas gdy nasza milczy, nie mając już armii, której by mogła służyć. Ustaje walka, a zaczyna się rzeź.

Nadaremnie Napoleon usiłuje powstrzymać zamieszanie. Cesarz rzuca się w sam środek rozluźnionych szyków, napotyka na pułk gwardii oraz baterie rezerwowe, próbując skupić uciekających. Na nieszczęście noc przesłania jego widok, wrzawa zaś zagłusza głos.

Cesarz zsiada z konia i z szablą w rękę rzuca się do szeregów. W ślad za nim idzie Hieronim, zwracając się do cesarza: „Masz słusność, bracie, tutaj musi zginąć każdy, kto nosi nazwisko Bonaparte!”

Generałowie i oficerowie sztabu wyprowadzają cesarza, odpędzają go żołnierze gwardii, którzy chcą sami umrzeć, nie chcą jednak, by ich cesarz ginął wraz z nimi. Wsadzają go na konia, jeden z oficerów zaś porywa za cugle i unosi go w pełnym galopie. W ten sposób pędzi przez szeregi Prusaków, którzy wyprzedzili go już na pół mili. Żaden strzał, żadna kula się go nie ima. Wreszcie dobiega do Jemappes, zatrzymuje się na chwilę, ponawiając raz jeszcze próbę zebrania swych sił. Wszystkie wysiłki jednak udaremnia noc, ogólne rozprzężenie, nade wszystko zaś dziki pościg Anglików.

Musi więc cesarz, jak po Moskwie, powiedzieć sobie, że wszystko po raz drugi zostało stracone i że teraz znów będzie mógł już tylko w Paryżu utworzyć nową armię, by ratować Francję. Rusza tedy w dalszą drogę, zatrzymuje się w Philippeville i 20 czerwca przybywa do Laon.

Piszący te słowa widział Napoleona tylko dwa razy w życiu, i to w ciągu jednego tygodnia podczas krótkiego postoju dla zmiany koni. Po raz pierwszy, gdy wyruszał do Ligny, po raz drugi zaś, gdy wracał z Waterloo. Za pierwszym razem widziałem go w blasku promieni słonecznych, za drugim przy świetle księżyca, po raz pierwszy – wśród radosnych okrzyków tłumów, po raz drugi – wśród grobowej ciszy.

W obu wypadkach Napoleon siedział w tym samym wozie, na tym samym miejscu, ubrany w ten sam mundur, za każdym razem to samo nieokreślone i pełne rezygnacji spojrzenie, ta

sama spokojna i nie zdradzająca żadnej namiętności twarzy. Nieco głębiej tylko pochylił głowę na piersi, gdy wracał.

Był to smutek z powodu bezsennie spędzonej nocy, czy też ból utraconego świata?

Dnia 21 czerwca Napoleon znów jest w Paryżu. Nazajutrz izba panów i izba poselska ogłaszają się jako permanentnie obradujące, każdy zaś, kto by je chciał rozwiązać, ogłoszony będzie jako zdrajca kraju. Tego samego dnia Napoleon abdykuje na rzecz syna.

Dnia 8 lipca do Paryża wkracza z powrotem Ludwik XVIII; 14 lipca Napoleon, odrzuciwszy propozycję kapitana Baudina, który chce go wywieźć do Stanów Zjednoczonych, udaje się na pokład „Bellerofonta”, skąd wysłała do księcia-regenta Anglii następujące pismo:

„Wasza Królewska Mość!

Wydany w ręce mocarstw dzielących mój kraj oraz zdany na nieprzyjaźń wielkich państw Europy, uważam swoją karierę polityczną za skończoną. Przychodzę tedy, jak Temistokles, osiąść u ogniska brytyjskiego narodu. Oddaję się pod opiekę jego ustaw, o którą proszę Waszą Królewską Wysokość jako najpotężniejszego, najbardziej wytrwałego i najwspaniałomyślniejszego spośród moich nieprzyjaciół.

Napoleon”

Wieczorem 26 lipca „Bellerofont” zarzucił kotwicę w porcie Plymouth. Tu rozeszła się najpierw wieść o deportacji na Wyspę Świętej Heleny. Napoleon nie chciał dać wiary tym pogłoskom. Jednak 30 lipca angielski komisarz przedłożył mu rozkaz deportowania. Wzburzony, chwytając za pióro i pisze te słowa:

„Protestuję uroczyście w obliczu niebios i ludzi przeciwko pogwałceniu moich najświętszych praw i rozporządzaniu przemocą moją osobą i moją wolnością. Przybyłem na pokład «Bellerofonta» z własnej woli i nie jestem więźniem, lecz gościem Wielkiej Brytanii. Udałem się nawet na pokład z polecenia kapitana, który oświadczył mi, że ma rozkaz swego rządu, by mnie przyjąć i wraz z moim otoczeniem zawieźć do Anglii, jeśli sobie tego życzę. Przyszedłem z dobrej woli, by oddać się w opiekę praw angielskich. Z chwilą, gdy znalazłem się na pokładzie «Bellerofonta», byłem u ogniska brytyjskiego narodu. Jeśli dając kapitanowi okrętu rozkaz przyjęcia mnie wraz z towarzyszącymi mi osobami, rząd angielski chciał zarzucić na mnie sidła, to popełnił zbrodnię wobec własnego honoru i znieważył swą banderę.

Gdyby w istocie miała nastąpić deportacja, daremnie zapewnialiby Anglicy o swej lojalności, swych prawach i wolności. Gościnnność «Bellerofonta» przekreśliłaby po wszystkie czasy brytyjski honor.

Apeluję do historii. Orzeknie ona, iż wróg, który przez długie czasy z otwartą przyłbicą walczył z narodem angielskim, teraz dobrowolnie się zjawił, by w nieszczęściu szukać azylu i ochrony jego ustaw. Jakież większy dowód poszanowania, jakież wymowniejszy objaw zaufania mógł złożyć narodowi angielskiemu? Jakże jednak odpowiedziała Anglia na tę wielkoduszność? Uczyniła gest, jak gdyby chciała temu wrogowi podać gościnną dłoń, gdy zaś w dobrej wierze schronił się pod jej opiekę, złożono go w ofierze.

Na pokładzie «Bellerofonta», na morzu.

Napoleon”.

Ten głos protestu nie został wysłuchany. Dnia 7 sierpnia Napoleon musiał opuścić „Bellerofonta” i przenieść się na pokład okrętu „Northumberland”. Rozkaz ministerialny opiewał, iż Napoleonowi ma być odebrana szpada. Admirał Keith nie chciał wykonać tego rozkazu. W poniedziałek 7 sierpnia 1815 r. „Northumberland” podniósł kotwicę, by odpłynąć na Wyspę Świętej Heleny. Dnia 16 października, w siedemdziesiąt dni po wyjeździe z Anglii i sto dni po opuszczeniu Francji, wstąpił Napoleon na ową skalistą wysepkę, której nie miał już opuścić.

Anglia jednak ściągnęła na siebie w całej pełni hańbę swej zdrady. Od 16 października 1815 r. mieli królowie swego Chrystusa, narody zaś swego Judasza.

NAPOLEON NA WYSPIE ŚWIĘTEJ HELENY

Napoleon spędził noc w zajeździe, gdzie czuł się bardzo niedobrze. Nazajutrz o godzinie 6 rano udał się konno w towarzystwie wielkiego marszałka Bertranda i admirała Keitha do Longwood, do owego domku, który admirał Keith przeznaczył mu na siedzibę. Gdy admirał odjechał, cesarz pozostał w pawilonie należącym do domku wiejskiego, który stanowił własność zamieszkałego na wyspie kupca, nazwiskiem Balcombe. Było to prowizoryczne mieszkanie Napoleona i tu miał pozostać do czasu, gdy Longwood będzie przygotowane na jego przyjęcie. Napoleon czuł się poprzedniego wieczoru tak niedobrze, że choć pawilon ten był niemal zupełnie nieumeblowany, nie chciał powrócić do miasta.

Gdy wieczorem Napoleon zamierzał udać się na spoczynek okazało się, że jedyne okno jego sypialni nie ma ani szyb, ani okiennic, ani firanek. Pan de Las Cases i jego syn przesłoniли okno, jak mogli najlepiej, sami zaś ulokowali się na poddaszu, śpiąc na materacach. Kamerdynerzy ułożyli się do snu otuleni w płaszcze, na ziemi, pod drzwiami.

Nazajutrz rano Napoleon spożył śniadanie na nie nakrytym stole, bez serwety, jedzenie zaś składało się z resztek obiadu z poprzedniego dnia.

Stan ten uległ z czasem poprawie. Z „Northumberiandu” zniesiono bieliznę stołową i srebrną zastawę, dowódca 53 pułku zaś ofiarował namiot, który rozbito w ten sposób, by stanowił przedłużenie pokoju cesarza. Od tej chwili Napoleon zaczął myśleć o wprowadzeniu porządku do swych codziennych zajęć.

O godzinie 10 przed południem wzywał pana de Las Cases, by razem z nim spożył śniadanie. Odbywali półgodzinną rozmowę, po czym pan Las Cases odczytywał na głos to, co mu poprzedniego dnia podyktował cesarz. Po skończeniu lektury Napoleon przystępował do dalszego dyktowania, które przeciągało się zazwyczaj do godziny 4 po południu. O czwartej cesarz ubierał się i opuszczał pokój, by służba mogła go tymczasem doprowadzić do porządku. Zazwyczaj schodził wówczas do ogrodu, do którego ogromnie był przywiązany, i gdzie płótnem nakryta altana stanowiła schronienie przed żarem słonecznym. Pod tym to dachem stale zasiadał; przynoszono mu tu stół i krzesło i dyktował dalej jednemu z otoczenia, który specjalnie do pracy tej przybywał z miasta. Trwało to do godziny siódmej, czyli do pory obiadowej. Reszta wieczoru schodziła na lekturze Racine'a lub Moliere, skoro nie można było dostać żadnego z arcydzieł Corneille'a. Napoleon nazywał to ucześnieaniem na komedię lub dramat. Wreszcie układał się do snu, w miarę możliwości najpóźniej. Idąc bowiem zbyt wcześnie spać, budził się wśród nocy i nie mógł już potem zasnąć.

Doprawdy, który z potępieńców Dantego zechciałby zamienić swą karę na bezsenne noce Napoleona?

Po upływie kilku dni cesarz czuł się zmęczony i chory. Ponieważ oddano mu do dyspozycji trzy konie, umówił się z generałem Gourgaudem i Montholonem, iż nazajutrz urządzą wspólnie wycieczkę konno, w nadziei, że taki spacer dobrze mu zrobi. Tego samego dnia jednak doszła cesarza wiadomość, iż jeden z oficerów angielskich miał rozkaz

niespuszczania go z oka.

Natychmiast więc odesłał konie z powrotem z uwagą, że wszystko cokolwiek się w życiu robi, opiera się na rozsądzie. Jeśli przykreść oglądania swego dozorca więziennego góruje nad korzyścią ruchu cielesnego, lepiej jest pozostać w domu.

Natomiast częstą rozrywką cesarza były nocne spacer, trwające niekiedy do godziny 2 nad ranem.

Wreszcie w niedzielę 10 grudnia admirał polecił zawiadomić Napoleona, iż mieszkanie jego w Longwood jest gotowe. Jeszcze tego samego dnia Napoleon udał się tam konno. Przedmiotem, który najbardziej uradował go była drewniana wanna, zamówiona przez admirała u miejscowego stolarza – i to wedle własnoręcznie nakreślonego wzoru, gdyż w Longwood wanna była sprzętem najzupełniej nieznanym.

Jeszcze tego samego dnia cesarz zrobił z niej użytek. Nazajutrz zainstalowano służbę u cesarza, którą stanowiło 11 osób.

Ustrój wewnętrzny dworu oparty został na wzorach z wyspy Elby. Wielki marszałek Bertrand zachował stanowisko marszałka dworu, sprawując zarazem ogólny nadzór, pan de Montholon miał powierzoną pieczę nad sprawami domowymi, generał Gourgaud objął opiekę nad stajnią, a pan Las Cases czuwał nad wewnętrznym zarządem. Podobnie mniej więcej ustalony został rozkład dnia. O godzinie 9 cesarz spożywał śniadanie. Ponieważ nie było specjalnie wyznaczonej godziny na spacer, ze względu na to, iż za dnia upał był nieznośny, wieczorami zaś panowała wilgoć, ponieważ też konie, które stale miały nadchodzić z przylądka, z reguły nie nadchodziły, cesarz pracował przez znaczną część dnia bądź to z panem Las Cases bądź też z generałami Gourgaudem lub Montholonem. Między godziną ósmą a dziewiątą pospiesznie jadano obiad, w jadalni bowiem unosił się nieznośny dla cesarza zapach farby. Następnie udawano się do salonu, gdzie czekał już deser. Tutaj czytało się Racine'a, Moliera lub Woltera, przy czym coraz bardziej dawał się we znaki brak Corneille'a. O godzinie 10 zasiadano do *reversi* ulubionej przez cesarza gry w karty, nad którą zazwyczaj przesiadywano do godziny pierwszej po północy.

Cała niewielka kolonia znalazła pomieszczenie w Longwood, z wyjątkiem marszałka Bertranda, który zajmował z rodziną tzw. Hutsgate, lichy, mały domeczek położony przy drodze do miasta.

Mieszkanie cesarza składało się z dwóch pokoi, z których każdy liczył 15 stóp długości, 12 stóp szerokości i niespełna 7 stóp wysokości. Oba wytapetowane były chińską materią, lichy zaś dywan okrywał posadzkę.

W sypialni stało małe łóżko polowe, na którym sypiał cesarz, sofa, na której spoczywał przez większą część dnia, wśród stosu książek, zostawiających niewiele wolnego miejsca, obok zaś stał stolik, przy którym zasiadał do śniadania lub nawet do obiadu, na którym wieczorem stał trójramienny świecznik, osłonięty abażurem. Pomiędzy obu oknami, naprzeciw drzwi znajdowała się komoda z bielizną. Na niej stał duży nesoser.

Kominek, nad którym wisiało niewielkie lustro, zdobiło kilka obrazów. Po prawej stronie stał portret jadącego na jagniątku króla rzymskiego, z lewej strony wisiał inny portret króla rzymskiego, siedzącego na poduszce i przymierzającego pantofel. Pośrodku stało marmurowe popiersie cesarskiego dziecięcia. Dwa świeczniki, dwie buteleczki i dwie wyłacane filiżanki z nesoseru cesarza uzupełniały ozdobę kominka.

Leżąc przez większą część dnia na sofie, cesarz miał stale przed oczyma wiszący nie opodal sofy, malowany przez Isabey portret Marii Ludwiki trzymającej na ręku syna. Poza tym po lewej stronie kominka, obok portretów, znajdował się zegar Frydryka Wielkiego, rodzaj budzika, który Napoleon przywiózł z Poczdamu i jako *pendent* własny zegarek cesarza, który wybił ongiś godzinę bitwy pod Marengo i Austerlitz, z obu stron zaopatrzony złotą przykrywą, na której wyryta była litera B.

Umieblowanie drugiego pokoju składało się głównie z surowych desek, poukładanych na

zwyczajnych podstawach. Tu rozłożone było mnóstwo książek oraz różne rozprawy dyktowane przez cesarza generałom i sekretarzom. Pomędzy obu oknami ustawiona była szafka na książki, naprzeciwko zaś stało łóżko podobne do łóżka w pierwszym pokoju, na którym cesarz niekiedy odpoczywał za dnia lub sypiał w nocy. W środku pokoju znajdował się także stół do pracy, przy którym zaznaczone były miejsca zajmowane zazwyczaj podczas dyktowania przez cesarza oraz panów Montholona, Gourgauda lub Las Casesa.

Taki oto był tryb życia i tak wyglądała rezydencja męża, który zamieszkiwał kolejno Tuileries, Kreml i Eskorial.

A jednak mimo upałów za dnia i wilgoci w nocy, mimo braku przedmiotów niezbędnych do życia, do którego przywykł, cesarz zniósłby cierpliwie wszystkie niedostatki, gdyby nie ustawiczne szpiegowanie i traktowanie go nie tylko jako więźnia wyspy, lecz także jako więźnia we własnym domu. Jak już wspomniano, zostało wydane zarządzenie, że Napoleon może wyjeżdżać na spacer tylko w towarzystwie jednego z oficerów angielskich. Wskutek tego cesarz postanowił zaniechać w ogóle spacerów konno. Konsekwentnym dotrzymaniem postanowienia sprawił, że jego dozorczy więzienni znieśli ten zakaz, pod warunkiem iż nie przekroczy pewnych określonych granic. Granic tych jednak strzegli wartownicy.

Pewnego dnia jeden z szyldwachów wycelował nawet broń do cesarza; na szczęście generał Gourgaud wyrwał mu karabin w chwili, gdy prawdopodobnie chciał już nacisnąć cyngiel. Zresztą regulamin zezwalał tylko na półgodzinną przejażdżkę, ponieważ zaś cesarz nie chciał go przekraczać, schodził z konia i odbywał dalszą przechadzkę pieszo, ścieżkami nad krawędzią spadzistych przełęcz i cudem tylko co najmniej z dziesięć razy nie spadł w przepaść.

Mimo tych zmian w trybie życia, do którego przywykł, cesarz cieszył się w pierwszych sześciu miesiącach stosunkowo dobrym zdrowiem. Następnej jednak zimy, gdy pogoda stała się fatalna, gdy wilgoć i deszcze docierały do izdebki, w której mieszkał, cesarz zaczął się czuć coraz gorzej, co objawiało się często stanem zupełnego odrętwienia. Ponadto Napoleon zdawał sobie sprawę, że klimat wyspy jest w najwyższym stopniu niezdrowy i że osoba licząca pięćdziesiąt lat należała na wyspie do rzadkości.

Tymczasem zjawiał się nowy gubernator, którego admirał przedstawił cesarzowi. Był to człowiek mający około 45 lat, niemiłej postaci, cienki, chudy, wysuszony, o czerwonej twarzy i rudych włosach, piegowaty, o zezujących oczach, które tylko ukradkiem spoglądały dookoła, rzadko patrząc komukolwiek w twarz, ukryte zaś były pod krzaczastymi, ognistego koloru brwiami. Nazywał się Hudson Lowe.

Z dniem jego przybycia zaczęły się nowe szykany, które coraz bardziej stawały się nieznośne. Pierwszą czynnością nowego gubernatora było przysłanie cesarzowi dwóch ulotnych pism skierowanych przeciwko niemu. Następnie poddał przesłuchaniu całą służbę, by dowiedzieć się, czy wszyscy trwają w niezłomnym zamiarze pozostania przy cesarzu. Pod wpływem tych złośliwości Napoleon popadł rychło w stan chorobowy, który już coraz częściej u niego występował. Przez pięć dni z rządu cesarz czuł się niedobrze, nie przerywał jednak dyktowania dziejów kampanii włoskiej.

Wkrótce jeszcze bardziej wzmogły się szykany gubernatora. Pewnego dnia posunął się w nieprzyzwoitości do tego stopnia, że zaprosił „generała Bonaparte” do siebie na obiad, by przedstawić go pewnej damie z wyższego towarzystwa angielskiego. Napoleon nawet nie odpowiedział na zaproszenie, skutkiem czego prześladowania stały się jeszcze gorsze.

Gubernator musiał być powiadomiony o wysłaniu każdego listu, każde zaś pismo, w którym Napoleon był tytułowany cesarzem, ulegało zniszczeniu.

Pewnego dnia zwrócono uwagę generałowi Bonaparte, że otacza się zbyt wielkim zbytkiem. Zakomunikowano mu, że rząd może zezwolić jedynie na to, by do codziennego obiadu zasiadały najwyżej cztery osoby, przy czym dla każdej osoby wyznaczono po jednej butelce wina. Tylko raz w tygodniu może zapraszać gości do stołu. Gdyby koszty utrzymania

generała i jego otoczenia przekraczały wyżej podane ramy, muszą sami ponosić nadmierne wydatki.

Cesarz polecił połamać swoją srebrną zastawę i posłać ją do miasta. Gubernator jednak kazał go zawiadomić, że srebro może być sprzedane tylko nabywcy wskazanemu przez gubernatora. Nabywca ten zapłacił 6000 franków, która to kwota pokryła zaledwie dwie trzecie wartości metalu. Cesarz brał codzienną kąpiel, gdy wtem kazano mu powiedzieć, że musi się zadowolić tylko jedną kąpielą w tygodniu, gdyż w Longwood brakuje wody. W pobliżu domu rosło kilka drzew, w których cieniu Napoleon chętnie się przechadzał. Gubernator kazał je wyciąć, gdy zaś cesarz uskarżał się na to potworne okrucieństwo, oświadczył, iż nie wiedział, że drzewa te sprawiały przyjemność generałowi Bonaparte, jeśli jednak generał życzy sobie, można będzie zasadzić na ich miejscu inne.

W takich wypadkach Napoleona ogarniała niekiedy wzniosła zawziętość i oburzenie. Tak było i wówczas, gdy usłyszał powyższą odpowiedź od gubernatora.

– Najgorzej dokuczali mi – zawołał – ministrowie angielscy już nie tym, że mnie tutaj zesłali, ale tym, że mnie wydali w pańskie ręce. Uskarżałem się na admirała. Ale ten przynajmniej miał jakieś serce, pan zaś zohydza swój naród, a imię pańskie będzie na zawsze okryte hańbą.

Na podstawie własności spożywanego mięsa przekonano się pewnego dnia, że do stołu cesarza podawano mięso pochodzące ze zwierząt nieżywych, nie zaś zabijanych. Na prośby, by zwierzęta dostarczane były w stanie żywym, odpowiadano odmownie.

Odtąd życie Napoleona zamieniło się w przewlekłe i bolesne konanie, trwające pięć lat. Przez te lata nowoczesny Prometeusz przykuty był do skały, a Hudson Lowe rozrywał mu serce. Wreszcie rankiem 20 marca 1821 r., w pamiętną rocznicę powrotu Napoleona do Paryża, cesarz odczuł silny ucisk w żołądku i doznał niezwykle przykrego uczucia duszności w piersiach. Wkrótce po żołądku i śledzionie rozszedł się straszliwy ból, jakby kto nożem krajał, rozszerzając się na piersi aż po lewy obojczyk. Mimo natychmiastowego zastosowania leku gorączka nie ustawała, przy dotknięciu pobrzusza dawał się we znaki ból i nastąpiło silne rozdęcie żołądka. Po południu około godziny 5 bóle zdwoiły się. Poza tym chory uskarżał się na lodowate dreszcze i bolesne skurcze, szczególnie w nogach. Właśnie w tej chwili nadeszła małżonka marszałka Bertranda, która przyszła odwiedzić chorego. Napoleon przymuszał się zrazu, by okazać pogodną, a nawet wesołą twarz, rychło jednak znów wziął górę nastrój ponurej melancholii: „My oboje – rzekł – musimy się pogodzić z wyrokiem losu. Pani, Hortensji oraz mnie przeznaczone zostało ulec mu na tej nędznej skale. Ja wpierym pójdę, za mną pójdzie pani, za panią zaś – Hortensja. Ale wszyscy troje spotkamy się znów tam w gorze”. Po tych słowach dodał jeszcze następujące cztery wiersze z *Zairy* Woltera:

Lecz nigdy już zaiste nie zobaczę Paryża,
Grób dla mnie już otwarty, jestem gotów odejść;
Dziś jeszcze przed obliczem Pana światów stanę,
Za wszystko, com dlań cierpiał, zażądam zapłaty.

Noc, która nadeszła, minęła spokojnie, ale objawy choroby stawały się coraz groźniejsze. Niemal wbrew woli cesarza naradzali się z sobą doktorzy Antommarchi z chirurgiem garnizonowym Arnottem. Lekarze ci uznali za konieczne przyłożenie na brzuch chorego wielkiego plastra, zalecili środek przeczyszczający oraz polewanie czoła pacjenta octem. Mimo tego choroba uczyniła straszliwe postępy.

Pewnego wieczoru w Longwood jeden ze służących powiedział, że widział kometa. Wiadomość ta wywarła silne wrażenie na Napoleonie. „Kometa! – zawołał – ten znak był zapowiedzią śmierci Cezara!”

Dnia 11 kwietnia chłód w nogach chorego przybrał znacznie na sile. Lekarz próbował rozgrzać je ciepłymi okładami, Napoleon jednak rzekł do niego: „Wszystko to na nic, nie tutaj, lecz w żołądku siedzi zło. Nie ma pan środka przeciwko żarowi, który mnie spala, żadne leki nie ugaszą ognia, który mnie pożera”.

Dnia 15 kwietnia cesarz zaczął sporządzać testament; tego dnia nikt nie miał dostępu do jego pokoju prócz Marchanda i generała Montholona, którzy pozostali przy cesarzu od godziny pół do drugiej do szóstej.

O godzinie 6 zjawił się lekarz. Napoleon pokazał mu rozpoczęty testament i rzekł: „Jak pan widzi, przygotowuję się do odejścia”. Gdy lekarz usiłował go uspokoić, przerwał mu, mówiąc: „Nie ludźmy się, wiem, jaka jest sytuacja i jestem gotów”.

Dnia 19 kwietnia nastąpiło widoczne polepszenie, które ożywiło nadzieję wśród wszystkich z wyjątkiem Napoleona. Gdy składano sobie życzenia z okazji pomyślnej zmiany w stanie zdrowia cesarza, Napoleon pozwolił im mówić, po czym rzekł uśmiechając się: „Nie ludźcie się. Choć dziś stan mój jest lepszy, to jednak czuję, że kres mój się zbliża. Jeśli umrę, wszyscy znajdziecie słodką pociechę powrotu do Europy. Zobaczycie waszych rodziców i przyjaciół, lecz i ja odnajdę w niebie moich walecznych. Tak, tak – dodał, ożywiając się i w natchnieniu podnosząc głos – Kléber, Desaix, Bessières, Duroc, Ney, Murat, Massena, Berthier – wszyscy wyjdą mi naprzeciw. Będą mówili o naszych wspólnych dokonanych czynach, ja zaś opowiem im o ostatnich zdarzeniach mego życia. Jeśli mnie znów zobaczą, ogarnie ich zachwyt i błogość. Będziemy sobie o naszych wojnach rozmawiali ze Scypionem, Cezarem, Hannibalem, to dopiero będzie przyjemność... Byle tylko – dodał z uśmiechem – nie przerazili się tam w górze na widok tyłu wojowników siedzących razem”.

Kilka dni później cesarz polecił przywołać księdza Vignali. „Urodziłem się – rzekł doń – jako katolik, chcę więc spełnić obowiązki, które nakłada religia, i przyjmując święte sakramenty. Proszę odmawiać codziennie mszę w pobliskiej kaplicy i na czterdzieści godzin wystawić święte sakramenty. Gdy umrę, proszę u wezłowania mego ustawić ołtarz i odczytać z niego mszę świętą. Proszę przestrzegać wszystkich innych ceremoniałów aż do chwili, gdy spocznę w ziemi”.

Po kapłanie przyszła kolej na lekarza. „Kochany doktorze – rzekł do niego Napoleon – gdy tylko śmierć moja nastąpi, pragnąłbym, aby dokonał pan otwarcia moich zwłok, żądam jednak by żaden angielski lekarz mnie nie dotknął. Życzę sobie, abyś pan wy dobył me serce, złożył je w alkoholu i wręczył mojej drogiej Marii Ludwice. Powiedz jej pan, że kochałem ją całym sercem i że nigdy nie przestałem jej kochać. Opowie jej pan o wszystkich moich cierpieniach, powie jej pan to wszystko, co pan widział. Doniesie jej pan szczegółowo o mojej śmierci. Polecam panu bardzo dokładnie zbadać mój żołądek i o wyniku badania złożyć drobiazgowo sprawozdanie memu synowi. Następnie uda się pan z Wiednia do Rzymu, gdzie odszuka pan moją matkę i rodzinę. Doniesie im pan o wszystkim, co pan tutaj widział. Powie im pan, że ten sam Napoleon, którego świat Wielkim nazwał na równi z Karolem Wielkim i Pompejuszem, zmarł w pożałowania godnym stanie, cierpiąc wszelkie braki, pozostawiony sam sobie i swej sławie. Powie im pan, że umierając, przesłał wyrazy wstrętu i pogardy ostatnich swych chwil wszystkim rodom panującym”.

Dnia 2 maja gorączka osiągnęła najwyższy punkt, puls uderzał sto razy na minutę i cesarz zaczął majaczyć. Był to początek agonii, przerywanej krótkimi chwilami pełnej świadomości. Wtedy Napoleon powtarzał wskazówki udzielone doktorowi Antommarchiemu. „Proszę dokładnie – mówił do lekarza – przeprowadzić anatomiczne badanie mego ciała, nade wszystko zaś mego żołądka. Lekarze w Montpellier donieśli mi w swoim czasie, że choroba żołądka jest dziedziczna w mojej rodzinie. Orzeczenie ich znajduje się, jeśli się nie mylę, w rękach Ludwika. Niech pan je każe sobie pokazać, proszę porównać je z tym, co pan sam zaobserwował. Obym przynajmniej mógł dziecko moje ustrzec od tej straszliwej choroby!”

Noc minęła dość spokojnie, nazajutrz jednak majaczenie wystąpiło ze wznowioną siłą. Dopiero około godziny 8 zelżało nieco. O trzeciej chory znów odzyskał przytomność. Skorzystał z niej, by wezwać wykonawców testamentu i zapowiedzieć im, iż na wypadek, gdyby miał zupełnie stracić przytomność, nie wolno zbliżyć się do niego żadnemu angielskiemu lekarzowi z wyjątkiem doktora Arnotta. Następnie dodał w pełni świadomie i z

całą mocą swego ducha:

„Śmierć moja zbliża się. Wróćcie do Europy, muszę wam tedy udzielić kilku wskazówek, jak macie się zachować. Dzieliliście ze mną wygnanie, macie więc być wierni mej pamięci i nic takiego czynić nie będziecie, co by mogło ją zhańbić. Zasady wolnego ustroju państwa przyjąłem i uważałem za święte, dostosowując do nich wszystkie czyny i postanowienia. Niestety okoliczności były niepomyślne. Musiałem niekiedy postępować surowo. Przyszła katastrofa. Nie mogłem popuścić cięciwy łuku i Francja utraciła te wolności, które jej nadałem. Kraj mój osądzi mnie z wyrozumieniem, kładąc moje dobre chęci na szalę. Imię moje i moje zwycięstwa pozostaną mu drogim. Idźcie za moim przykładem! Pozostańcie wierni zasadom, których broniliście, jak też sławie, którą zdobyliście w bojach. Inaczej rozpanoszy się hańba i zamęt”.

Rankiem 5 maja choroba osiągnęła najwyższy punkt. Życie chorego było już tylko bolesnym konaniem. Oddech stawał się coraz cięższy, szeroko otwarte oczy były znieruchomiałe i matowe, kilka zaś nieartykułowanych wyrazów, ostatnie tchnienie zmaconego umysłu, zamierały od czasu do czasu na jego wargach. Ostatnie słowa, które można było zrozumieć, brzmiały: *tête!* i *l'armée!* Następnie głos zamilkł, wszelki duch zdawał się już zamarty, i nawet lekarz przypuszczał, że życie uszło z ciała. Tymczasem około godziny 8 puls na nowo się ożywił, kłątwa śmierci, zamykająca usta chorego, zdawała się ustępować i kilka głuchych westchnień wyrwało się z piersi konającego. O godzinie pół do jedenastej jednak puls zanikł. Kilka minut po godzinie 11 serce cesarza przestało bić na zawsze...

W dwadzieścia godzin po zgonie dostojnego chorego doktor Antommarchi przystąpił do otwarcia zwłok, zaleconego mu tylekroć przez Napoleona. Następnie wydobył serce, które stosownie do otrzymanych wskazówek umieścił w alkoholu, by je następnie wręczyć Marii Ludwice. W tej samej chwili jednak zjawili się niespodzianie wykonawcy testamentu z oświadczeniem sir Hudsona Lowe'a, iż nie zezwala on na wywiezienie z Wyspy Świętej Heleny ani ciała zmarłego, ani żadnej z jego części. Wobec tego zaczęto rozglądać się za miejscem na grób cesarza. Zdecydowano się wreszcie na miejsce, które Napoleon raz jeden tylko widział, o którym jednak zawsze mówił z upodobaniem. Sir Hudson Lowe umieścił w tym miejscu grób.

Po przeprowadzeniu sekcji dr Antommarchi zszedł z powrotem rozcięte ciało, a następnie obmył. Jeden z kamerdynerów ubrał cesarza w zwyczajne ubranie, to jest w spodnie z białego kaszmiru, długie buty z małymi ostrogami, białą kamizelkę, biały żabot, nakryty czarnym i spięty razem, mundur pułkownika strzelców gwardii ozdobiony Orderem Legii Honorowej i Żelaznej Korony, wreszcie na głowę nasadził mu trójgraniasty kapelusz. Ubranego w ten sposób, wyniesiono Napoleona 6 maja kwadrans przed piątą z izby do małej sypialni, gdzie ustawiony był katafalk. Tu wystawiono zwłoki na widok publiczny. Ciało cesarza miało dłonie swobodnie ułożone. Cesarz spoczywał na swym łóżku połowym. Na piersiach miał złożony krucyfiks, na stopy zaś narzucono mu niebieski płaszcz spod Marengo. Zwłoki były wystawione przez dwa dni.

Rankiem 8 maja ciało cesarza, które spocząć miało u stóp kolumny Vendôme i które wraz z sercem miało być odesłane Marii Ludwice złożono do wyścielonej miękką trumny z lanego żelaza, zaopatrzonej w poduszkę obleczoną białym atłasem. Kapelusz, który z braku miejsca nie mógł pozostać na głowie zmarłego, złożono u jego stóp. Dookoła rozsypało orły i wszelkiego rodzaju monety z wizerunkiem cesarza, wybite za jego rządów. Nadto do trumny złożono przybory stołowe cesarza, nóż i talerz ozdobiony jego herbem. Trumna włożona została następnie w drugą trumnę z cedrowego drzewa, którą z kolei włożono do trzeciej trumny ołowianej, tę zaś wreszcie do czwartej, też z drzewa cedrowego, podobnej do drugiej trumny, lecz obszerniejszej. Następnie trumnę wystawiono w tym samym pokoju, w którym przedtem wystawione były zwłoki.

O godzinie pół do pierwszej żołnierze miejscowego garnizonu wynieśli trumnę do wielkiej alei topolowej, gdzie czekał karawan. Okryto ją fioletowym aksamitem, na który zarzucono płaszcz spod Marengo. Następnie orszak pogrzebowy ruszył w następującym porządku:

Ksiądz Vignali, odziany w ornaty, obok niego zaś młody Henryk Bertrand niosący srebrną kropielnicę z kropidłem.

Doktorzy Antommarchi i Arnott.

Strażnicy karawanu, ciągnionego przez cztery prowadzone przez służbę konie, po obu stronach wozu zaś kroczyło 12 nie uzbrojonych grenadierów. Mieli oni nieść na ramionach trumnę, gdyby zły stan drogi uniemożliwił dalszą jazdę karawanu.

Młody Napoleon Bertrand i Marchand, obaj pieszo, obok karawanu.

Hrabiowie Bertrand i Montholon, na koniach, bezpośrednio za karawanem.

Część świty cesarskiej.

Hrabina Bertrand z córką Hortensją, w powozie zaprzężonym w parę koni, prowadzonych przez służbę.

Grób wykopany został w odległości mniej więcej kwadransa drogi od Huts Gate. Karawan zatrzymał się w pobliżu grobu, w tej samej chwili zaś zaczęły armaty oddawać po pięć strzałów na minutę.

Zwłoki złożono do grobu, podczas gdy ksiądz Vignali odmawiał modły. Stopy Napoleona zwrócono na Wschód, który został przezeń zdobyty, twarzą zaś zwrócony był ku zachodowi, gdzie ongiś panował. Olbrzymich rozmiarów kamień przypieczętował ostatnią rezydencję cesarza, tworząc przejście od wszelkiej rachuby czasu ku wieczności.

Przyniesiono wreszcie srebrną płytę, na której wyryty był następujący napis:

NAPOLEON
Urodzony w Ajaccio, 15 sierpnia 1769,
zmarł na Wyspie Świętej Heleny 5 maja 1821

W chwili jednak, gdy płytę z napisem zamierzano umocować na bloku kamiennym przykrywającym grób, wpadł sir Hudson Lowe i oświadczył w imieniu rządu angielskiego, że na grobie nie wolno składać żadnego innego napisu, jak tylko:

GENERAL BUONAPARTE